

POUL ANDERSON

Iskry

Nie będzie rozejmu
z władcami



Poul Anderson

Nie będzie rozejmu z władcami

Tytuł oryginału

„No Truce With Kings" z tomu *Time and Stars*,
wyd. Doubleday and Company, Nowy Jork, 1964

– Piosenka, Charlie! Zaśpiewaj nam coś!

– Jasne, Charlie!

Wszyscy w mesie byli pijani, a młodszy oficerowie zajmujący dalsze miejsca przy stole zachowywali się tylko odrobinę głośniejszy niż ich przełożeni siedzący blisko pułkownika. Dywany i kotary w niewielkim tylko stopniu tłumiły harmider, ciężkie odgłosy kroków, uderzenia pięści o dębowe stoły i brzęk unoszonych kielichów, które echem odbijały się od jednej kamiennej ściany do drugiej. W górze, wśród cieni, co skrywały krokwie stropu, sztandary pułkowe trzepotały lekko poruszane przeciągiem, jak gdyby one też chciały przyłączyć się do ogólnego zamieszania. W dole przymocowane do ścian latarnie i trzaskający kominek słały migotliwe światło na trofea i broń.

Jesień wczesnie przychodzi na Górę Echa; nastał już czas burz, z których jedna szalała właśnie świszcząc wiatrem między wieżami strażniczymi, siekąc ulewą podwórka, jęcząc głucho wśród budynków i korytarzy, jakby to była prawda, że zmarli, którzy kiedyś służyli w Trzeciej Dywizji, wychodzą z cmentarza każdego 19 września, by przyłączyć się do świętowania, ale zapomnieli już, jak to się robi. Nikt się tym nie przejmował, zarówno tutaj, jak i w koszarach szeregowych, może poza majorem czarowników. Trzecia Dywizja, czyli Pantery, znana była jako najbardziej rozbrykany oddział w armii Pacyficznych Stanów Ameryki, a spośród jej pułków Włóczykije, którzy trzymali Fort Nakamura, należeli do najdzikszych.

– No, jazda, chłopcze! Zaczynaj! Jeśli ktoś tutaj, w tej przeklętej Sierra, ma jakiś taki głos, to ty – wołał pułkownik Mackenzie. Poluzował kołnierzyk swej czarnej kurtki mundurowej, wyciągnął nogi i rozparł się na krześle trzymając w jednej ręce fajkę, a w drugiej szklankę whisky. Był to mocno zbudowany mężczyzna o niebieskich oczach w siateczce zmarszczek na pokiereszowanej twarzy; krótko przystrzyżone włosy przyprószyła już siwizna, ale wąsy nadal były wyzywająco rude.

– „Charlie to mój kochaś, mój kochaś, mój kochaś” – zanucił kapitan Hulse. Przerwał, gdy gwar ucichł nieco. Młody porucznik Amadeo podniósł się, uśmiechnął i zaintonował inną piosenkę, którą wszyscy dobrze znali.

*... Jestem Pantera pod granicznym słupem,
Na każdym patrolu mróz mnie szczypie w ...*

– Bardzo przepraszam, panie pułkowniku...

Mackenzie obrócił się i napotkał wzrok sierżanta Irwina. Doznał wstrząsu na widok twarzy tamtego.

– Słucham, sierżancie?

*... Pierś ma w orderach cholerny bohater:
Szkarłatna strzała i wiązka granatów!*

– Właśnie otrzymaliśmy wiadomość. Major Speyer prosi, by pan natychmiast przyszedł.

Speyer, który nie lubił się upijać, sam zgłosił się do dzisiejszej służby; poza tym wyjątkiem służbę w święta rozdzielano drogą losowania. Na wspomnienie ostatnich informacji z San Francisco Mackenzie poczuł, jak przejmuje go dreszcz.

Cała mesa ryczała refren, nie zwracając uwagi, że pułkownik zgasił fajkę i wstał z miejsca.

*... Działa bum! Hej, bum, bum i bum!
Rakiety trach! Pocisków szum.
Ciasno nam tu, bo kulek tłum,
Chcę do mamy cieplej wracać, ile mi tu!
(I tru tu, tu, tu!)*

Wszystkie prawowierne Pantery nie miały wątpliwości, że w działaniach potrafią się sprawić lepiej, nawet gdyby woda przelewała im się uszami, niż dowolny inny oddział na trzeźwo. Mackenzie ignorował świerzbienie w tętnicach; zapomniał o nim. Równym krokiem poszedł w kierunku drzwi, automatycznie zdejmując broń boczną ze stojaka, gdy go mijał. Piosenka ściagała go aż na korytarz.

*... Wciąż robaki fasujemy, rzadko ich brak,
Wgryzasz się w kanapkę, a ona ciebie chap?
Nasza kawa prima sort: „Sacramento zlew”,
Ale ketchup dobry w boju, całkiem jak krew.
(Chór:)*

*Werbel gra, trata tata ta,
Trąbka wola jak capstrzyk archaniola.*

Korytarz oświetlały z rzadka rozmieszczone lampy. Portrety poprzednich dowódców obserwowały pułkownika i sierżanta oczyma, które skrywała groteskowa ciemność. Tutaj nawet odgłos kroków był zbyt głośny.

*... W zadku strzałę masz,
w tył zwrot, wycofać się, biegiem marsz!
(I trata tata ta!)*

Mackenzie wszedł pomiędzy dwa działa stojące u wejścia na klatkę schodową, zdobyte pod Rock Springs podczas Wojny o Wyoming jeszcze za życia poprzedniego pokolenia. Ruszył schodami w górę. W tej twierdzy było wszędzie za daleko jak na jego stare nogi. Ale twierdza liczyła sobie wiele dziesiątków lat, podczas których rozbudowywano ją stopniowo; a musiała być potężna, wykuta i wybudowana z granitu Sierry, skoro broniła dojścia do całego kraju. Niejedna armia połamała sobie zęby na jej murach, dopóki nie spacyfikowano kresów Nevady; Mackenzie wolał też nie myśleć, ilu młodych ludzi wyszło z tej bazy, by zginąć od gniewu obcych.

Ale nigdy dotąd nie atakowano jej z zachodu. Boże, kimkolwiek jesteś, przecież mógłbyś jej tego oszczędzić, prawda?

O tej godzinie biuro dowodzenia świeciło pustką. Pokój, w którym stało biurko sierżanta Irwina, aż raził ciszą: nie było ani urzędników skrobiących piórami, ani przychodzących i

wychodzących łączników, ani żon ubarwiających swymi sukienkami otoczenie, jak wtedy, gdy w wiosce czekały na pułkownika w jakiejś sprawie. Kiedy jednak Mackenzie otworzył drzwi do gabinetu, usłyszał wycie, wichru uderzającego o róg budynku. O czarną szybę siekł deszcz, a potem spływał po niej strumieniami, którym lampy nadawały wygląd roztopionego metalu.

– Panie majorze, przyszedł pan pułkownik – powiedział Irwin chrapliwym głosem. Przełknął ślinę i zamknął drzwi za Mackenzie.

Speyer stał obok biurka dowódcy. Był to poharatany stary mebel, na którym stało niewiele przedmiotów: kałamarz, koszyk na korespondencję, interfon, fotografia Nory, która zdażyła już wyblaknąć przez te kilkanaście lat od jej śmierci. Major był wysoki i szczupły: nos miał zakrzywiony, a na czubku głowy łysinę. Jakimś sposobem jego mundur zawsze wyglądał tak, jakby domagał się prasowania. Ale miał najbystrzejszy umysł ze wszystkich Panter, pomyślał Mackenzie, a poza tym, Chryste, który człowiek potrafiłby przeczytać tyle książek, ile zaliczył Phil! Oficjalnie był adiutantem pułkownika, w praktyce zaś jego głównym doradcą.

– No więc? – odezwał się Mackenzie. Nie czuł żadnej otępiałości spowodowanej alkoholem; więcej nawet: alkohol skierował jego percepcję na gorącą woń lamp (kiedy nareszcie dostaną taki generator, by założyć światło elektryczne), na twardą podłogę pod stopami, na piknięcie przebiegające przez tynk na całej północnej ścianie, na to, że piecyk niewiele pomaga na panujący w pomieszczeniu chłód. Zmusił się do agresywności, zatknął kciuki za pas i zaczął balansować na obcasach.

– No, Phil, co cię teraz trapi?

– Depesza z Frisco – odparł Speyer. Cały czas składał i rozkładał kartkę papieru, którą teraz wręczył pułkownikowi.

– Co takiego? Dlaczego nie przez radio?

– Telegram trudniej przechwycić. A depesza jest poza tym szyfrowana. Irwin mi ją odczytał.

– Cóż to u diabła za idiotyzm?

– Sam popatrz, Jimbo, to się dowiesz. I tak adresowana jest do ciebie. Prosto z kwatery głównej.

Mackenzie skupił wzrok na słowach napisanych ręką Irwina. Na początku zwykły wstęp, potem zaś:

9

Niniejszym informuje się, że Senat Stanów Pacyficznych przegłosował ustawę o pozbawieniu funkcji Owena Brodsky'ego, byłego sędziego Stanów Pacyficznych Ameryki, i usunął go ze stanowiska. Od godziny 20.00 dnia dzisiejszego, zgodnie z ustawą o sukcesji poprzedni wicesędzia Fallon jest sędzią SPA. Wystąpienie elementów dysydenckich, stanowiących zagrożenie dla porządku publicznego, zmusiło sędziego Fallona do wprowadzenia stanu wojennego na terenie całego kraju, poczynając od godziny 21.00 dnia dzisiejszego. W związku z tym przekazuje się następujące instrukcje:

1. Powyższe informacje są całkowicie poufne do chwili ogłoszenia oficjalnego komunikatu. Nikt, kto je uzyskał podczas ich przekazywania, nie ma prawa ich rozpowszechniać. Winni pogwałcenia tego rozkazu oraz ci, którzy w ten sposób wymienione informacje otrzymali, mają zostać

odizolowani i oczekiwać sądu wojennego.

2. Należy zmagazynować wydaną broń, z wyjątkiem dziesięciu procent stanu, i trzymać ją pod wzmocnioną strażą.

3. Należy zatrzymać wszystkich ludzi w Forcie Nakamura do chwili przyjazdu nowego dowódcy. Nowym dowódcą mianowany został pułkownik Simon Hollis, który wyruszy jutro rano z San Francisco z jednym batalionem wojska. Powinni dotrzeć do Fortu Nakamura w ciągu pięciu dni; wówczas przekaze mu pan dowództwo. Pułkownik Hollis wskaże tych oficerów i żołnierzy, których zastąpią ludzie z jego batalionu; ma on być włączony do pułku. Ludzi, którzy zostali zwolnieni, doprowadzi pan do San Francisco i zamelduje się pan z nimi u generała brygady Mendozy w Nowym Forcie Baker. Aby uniknąć prowokacji, ludzie ci mają być bez broni poza boczną bronią oficerów.

4. Do pańskiej prywatnej informacji: kapitan Thomas Danielis został wyznaczony głównym doradcą pułkownika Hollisa.

5. Jeszcze raz przypomina się, że Stany Pacyficzne Ameryki znajdują się w stanie wojennym ze względu na zagrożenie państwa. Wszystkie buntownicze rozmowy muszą być surowo karane. Ktokolwiek udzieli jakiegokolwiek pomocy czy poparcia frakcji Brodsky'ego, zostanie uznany winnym zdrady stanu i odpowiednio potraktowany.

gen. Gerald O'Donnell

głównodowodzący sił zbrojnych PSA

Po górach przetoczył się grzmot niczym łoskot dział. Minęła dłuższa chwila, nim Mackenzie poruszył się, a i to tylko w tym celu, by odłożyć kartkę na biurko. Czuć wracało doń powoli, wypełniając pustkę, którą miał pod skórą.

– Odważyli się jednak – rzekł beznamiętnie Speyer. – I rzeczywiście to zrobili. – Co takiego? – Mackenzie przeniósł wzrok na twarz majora. Ale Speyer nie patrzył na niego; uwagę skupił na dłoniach skręcających papierosa. Słowa jednak wylatywały mu z ust, ostro i szybko:

– Mogę się domyślić, jak to było. Jastrzębie krzyczały żeby go usunąć, od kiedy zawarł ten kompromis graniczny z Kanadą Zachodnią. A Fallon, o tak, ten ma własne ambicje. Ale jego bojówkarze są w mniejszości i on dobrze o tym wie. Jego wybór na wice trochę uspokoił jastrzębie, ale w normalny sposób nigdy by nie został sędzią, bo Brodsky śmiało przeżyje Fallona, a zresztą ponad połowa senatu to rozsądni, zadowoleni z życia szefowie, którym ani w głowie myśl, że to Stanom Pacyficznym niebiosą wyznaczyły misję zjednoczenia kontynentu. Nie wyobrażam sobie, aby wniosek o pozbawienie urzędu mógł przejść przez ucziwie zwołany senat. Prędzej by wyrzucili Fallona.

– Ale senat jednak został zwołany – rzekł Mackenzie. Słowa dochodziły jego uszu, jakby wypowiadał je ktoś inny. – O tym było w wiadomościach.

– Jasne. Zwołano go na wczoraj, aby „omówić ratyfikację traktatu z Kanadą Zachodnią”. Ale szefowie są rozrzućeni po całym kraju, każdy w swej stacji. Muszą się jakoś dostać do San Francisco. Wystarczy zmontować kilka spóźnień... do cholery, przecież gdyby most na linii kolejowej Boise wyleciał przypadkiem w powietrze, równy tuzin najgorętszych obrońców Brodsky'ego nie zdążyłby na czas. I wtedy senat ma kworum, a jakże, tylko że wśród obecnych są wszyscy zwolennicy Fallona, a tak wielu spośród pozostałych brakuje, że jastrzębie są w wyraźnej

większości. No i spotkanie odbywa się w święto, kiedy żaden mieszczuch na nic nie zwraca uwagi. I wtedy – pstryk! – i mamy pozbawienie urzędu i nowego sędziego! – Speyer skończył skręcać papierosa, po czym wetknął go między zęby szukając zapalek. Widać było drgające mięśnie jego szczęki.

– Jesteś pewien? – wymamrotał Mackenzie. Jak przez mgłę przypominał sobie podobny wieczór, kiedy wizytował Puget City, a Kurator zaprosił go na swój jacht. Wówczas otoczyła go mgła; było ciemno i zimno, ale nic uchwytnego.

– Oczywiście, że nie jestem pewien! – warknął Speyer. – Nikt nie może mieć jeszcze pewności... a potem będzie już za późno. – Zapałka zadrżała mu w palcach. – Jak widzę, mają już i nowego wodza.

– Aha. Chcą zastąpić wszystkich, którym nie ufają, i to najprędzej, jak można. De Barros był mianowany przez Brodsky'ego. – Zapałka zapłonęła z piekielnym trzaskiem. Speyer zaciągnął się, aż policzki mu się zapadły. – To, oczywiście, i nas dotyczy. Pułk ma być prawie bez broni, aby nikomu nie wpadło do głowy stawiać oporu, kiedy pojawi się nowy pułkownik. Zwróć uwagę, że i tak maszeruje z całym batalionem deptającym mu po piętach, na wszelki wypadek. Przecież sam mógłby tu przybyć samolotem.

– A czemu nie pociągiem? – Mackenzie pochwycił woń dymu i zaczął szukać fajki. Leżała w kieszeni kurtki; cybuch był jeszcze rozgrzany.

– Cały tabor kolejowy został pewnie skierowany na północ, z wojskiem, które ma zapobiec rewolcie tamtejszych szefów. W dolinach jest stosunkowo bezpiecznie: sami pokojowo nastawieni ranczerzy i kolonie Esperów. Żaden z nich nie wystrzeli do żołnierzy Fallona maszerujących, by obsadzić placówki na Echu i Donnerze. – W słowach Speyera słychać było przerażającą pogardę.

– Co teraz zrobimy?

– Zakładam, że przejęcie władzy przez Fallona nastąpiło w majestacie prawa; że kworum się zebrało – odrzekł Speyer. – Nikt już potem nie dojdzie, czy odbyło się to w zgodzie z konstytucją... Czytam tę cholerną depezę raz po raz, od chwili, gdy Irwin ją odszyfrował. Można się z niej wiele dowiedzieć między wierszami. Myślę, na przykład, że Brodsky jest na wolności. Gdyby został aresztowany, byłoby to jasno stwierdzone, a poza tym mniej by się obawiano buntu. Może jakieś wierne mu oddziały ukryły go w porę. Oczywiście będą go ścigać do upadłego.

Mackenzie wyjął fajkę, lecz od razu o tym zapomniał. – Tom przybywa z tymi, którzy mają nas zmienić – rzekł cicho.

– Właśnie. Twój zięć. Ładna zagrywka, nie? W pewnym sensie zakładnik, który ma zagwarantować twoje posłuszeństwo, ale też i ukryte przyrzeczenie, że ty i twoja rodzina nie doznacie krzywdy, jeśli zameldujesz się zgodnie z rozkazem. Tom to dobry chłopak, lojalny wobec swoich.

– To jest również jego pułk – powiedział Mackenzie. Wyprostował ramiona. – Jasne, on chciał wojny z Kanadą Zachodnią. Jest młody i... a wielu Pacyfikańczyków zginęło w Enklawie Idaho podczas zamieszek. Także kobiety i dzieci.

– Hmm – mruknął Speyer – jesteś dowódcą, Jimbo. Co mamy robić? – Jezu, a skąd mam wiedzieć? Jestem tylko żołnierzem. – Ustnik fajki trzasnął w uścisku palców pułkownika. – Ale w każdym razie nie jesteśmy tu po to, aby bronić osobistych interesów jakiegoś szefa. Przysięgaliśmy

bronić konstytucji.

– Nie wydaje mi się, aby ustępstwa Brodsky'ego w sprawie Idaho stanowiły wystarczający powód do pozbawienia go urzędu. Myślę, że miał wtedy słusność.

– Nooo...

– Zamach stanu w każdej formie byłby równie śmierdzącą sprawą. Może nie zaprzątałeś sobie głowy ostatnimi wydarzeniami, Jimbo, ale wiesz tak samo dobrze jak ja, co oznacza postawienie Fallona w roli sędziego. Wojna z Kanadą Zachodnią to jeszcze najmniejsze. Fallon jest również zwolennikiem silnej władzy centralnej. Znajdzie sposób okiełznania starych rodzin szefoskich. Wielu spośród ich przywódców i potomków zginie w pierwszych szeregach na froncie; ten chwyt sięga jeszcze czasów Dawida i Uriasza. Innych oskarży się o spiskowanie ze zwolennikami Brodsky'ego – co niezupełnie będzie niezgodne z prawdą – i zrujnuje karami pieniężnymi. Osady Esperów otrzymają nowe ładne przydziały ziemi, tak aby w konkurencji gospodarczej mogły doprowadzić do bankructwa inne majątki. Później wojny odwrócą uwagę poszczególnych szefów na wiele lat i nie będą oni mogli zajmować się własnymi sprawami, które w ten sposób szlag trafi. I tak to rozpoczniemy marsz wielkimi krokami ku zjednoczeniu.

– Skoro Centrala Esperów go popiera, to co możemy zrobić? Wiele słyszałem o uderzeniach psychotronicznych. Nie mogę zmuszać moich ludzi, by się na nie narażali.

– Możesz nawet kazać im stawić czoła bombie atomowej, Jimbo, i oni to zrobią. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat zawsze jakiś Mackenzie dowodził Włóczykijami.

– Tak. Myślałem, że może kiedyś Tom...

– Od jakiegoś czasu było widać, na co się zanoszą. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu?

– Mhm.

– Mógłbym również ci przypomnieć, że w konstytucji zapisane jest wyraźnie „potwierdzenie odwiecznych swobód poszczególnych regionów”.

– Odczep się! – wykrzyknął Mackenzie. – Mówię ci, że sam już nie wiem, co jest słuszne, a co nie. Daj mi spokój!

Speyer zamilkł patrząc na niego spoza zasłony gryzącego dymu. Mackenzie przechadzał się jakiś czas po pokoju waląc butami w podłogę jak w bęben. W końcu cisnął fajkę, która roztrzaskała się o przeciwległą ścianę.

– No, dobrze. – Słowa jego jak taran przebijały się przez ściśnięte gardło. – Irwin to porządny facet, który umie trzymać język za zębami. Poślij go, aby przeciął przewody telegraficzne kilka kilometrów od twierdzy. Niech tak to zrobi, żeby wyglądało na burzę. Bóg jeden wie, że druty często pękają. A więc oficjalnie – depesza z Kwatery Głównej nigdy do nas nie dotarła. To daje nam parę dni na skontaktowanie się z dowództwem Sierry. Nie wystąpię przeciwko generałowi Cruikshankowi... ale dobrze wiem, za kim stanie, jeśli zobaczy taką możliwość. Jutro przygotowujemy się do akcji. Nietrudno będzie przegonić batalion Hollisa, a poważniejsze siły zdołają wysłać przeciw nam dopiero za jakiś czas. Do tej pory pojawi się pierwszy śnieg i zostaniemy na zimę odcięci od reszty kraju. Tylko my potrafimy używać nart i rakiet śnieżnych i będziemy mogli utrzymywać ze sobą kontakty, coś zorganizować. A na wiosnę... zobaczymy, co będzie.

– Dziękuję ci, Jimbo. – Wiatr nieomal zagłuszył słowa Speyera. – Pójdę... pójdę powiedzieć Laurze.

– Taak. – Speyer uściśnął ramię pułkownika. W oczach majora widać było łzy. Mackenzie wyszedł krokiem defiladowym nie zwracając uwagi na Irwina; szedł korytarzem, potem schodami na niższe piętro, obok drzwi pod strażą, która oddała mu honory. Odwzajemnił je, machinalnie i wkrótce znalazł się we własnej kwaterze w południowym skrzydle.

Jego córka już spała. Zdjął z haka wiszącą w salonie lampę i wszedł do pokoju Laury. Przebywała już jakiś czas w twierdzy zostawiwszy męża w San Francisco. Przez moment Mackenzie usiłował sobie przypomnieć, po co właściwie posłał tam Toma. Przesunął dłonią po sterczącym jeżu na głowie, jakby chciał coś z tej głowy wycisnąć... a, tak: oficjalnie chodziło o załatwienie nowej dostawy umundurowania, a w rzeczywistości o usunięcie chłopaka z drogi, póki kryzys polityczny się nie przesili. Tom był tak uczciwy, że rzadko mu to wychodziło na dobre; podziwiał Fallona i ruch Esperów. Nigdy nie owijał w bawełnę, toteż często miewał konflikty z innymi oficerami, którzy pochodzili głównie z rodzin szefoskich czy też protegowanych i istniejący porządek społeczny im odpowiadał. Ale Tom Danielis zaczynał życie jako rybak w ubogiej wiosce na wybrzeżu Mendocino. W wolnych chwilach miejscowy Esper nauczył go czytać, pisać i rachować. Z tymi umiejętnościami Tom wstąpił do wojska i awansował na oficera dzięki wytrwałości i rozumowi. Nigdy nie zapomniał, że Esperzy pomagają biednym, a Fallon obiecał pomóc Esperom... Poza tym wojaczka, chwała, zjednoczenie, demokracja federalna to zawsze podniecające marzenia, kiedy się jest młodym.

Pokój Laury niewiele się zmienił, od kiedy opuściła go w zeszłym roku, by poślubić Toma. A miała wtedy ledwie siedemnaście lat. Przetrwały tu przedmioty, które należały do małej dziewczynki z kucykami i w fartuszkach: miś, który od nadmiaru miłości stracił swój pierwotny kształt, domek dla lalek zbudowany przez ojca, portret matki narysowany przez kaprala, który stanął na drodze kuli w Salt Lake. Boże, jaka stała się podobna do matki.

Na złotej od światła lampy poduszce leżały czarne włosy Laury. Mackenzie potrząsnął ją najłagodniej, jak potrafił. Obudziła się natychmiast; dojrzał w jej oczach przerażenie.

– Tato! Coś z Tomem?

– Nic się nie stało. – Mackenzie postawił lampę na podłodze, a sam usiadł na skraju łóżka. Poczł chłód jej palców, gdy uchwyciły jego dłoń.

– Nieprawda – odrzekła. – Znam cię zbyt dobrze.

– Jeszcze mu się nic nie stało. I mam nadzieję, że się nie stanie.

Mackenzie zebrał się w sobie. Ponieważ mówił do córki żołnierza, powiedział jej prawdę w niewielu słowach. Nie czuł się jednak na siłach spojrzeć jej przez ten cały czas w oczy. Gdy skończył, siedział w tępy milczeniu słuchając deszczu.

– Chcesz się zbuntować – szepnęła.

– Skonsultuję się z dowództwem Sierry i będę wykonywał rozkazy mego dowódcy – rzekł Mackenzie.

– Dobrze wiesz, jakie będą... skoro się dowie, że go poprzesz.

Mackenzie wzruszył ramionami. Zaczęła go boleć głowa. Czyżby już kac? O, będzie

potrzebował znacznie więcej alkoholu, nim zdoła dziś zasnąć. Nie, nie ma czasu na sen... owszem, będzie. Jutro wystarczy zebrać pułk na apelu i przemówić do żołnierzy z siodła na Czarnej Chefsibie, jak zawsze, gdy Mackenzie z Włóczykijów przemawia do swych ludzi, i... Nagle stwierdził, że nie wiadomo czemu przypomniał sobie ten dzień, gdy wraz z Norą i tą małą wybrał się na przejażdżkę łodzią po jeziorze Tahoe. Woda miała kolor oczu Nory, 'zielononiebieski, a na jej powierzchni skrzyły się odblaski słońca; była jednak tak przejrzysta, że widziało się kamienie na dnie jeziora. A kiedy Laura zanurzała ręce w wodzie, jej mały tyłeczek sterczał prosto w niebo.

Teraz zaś siedziała myśląc przez chwilę, zanim się znowu odezwała: – Sądzę, że nie da ci się tego wyperswadować.

Potrząsnął głową.

– Czy w takim razie mogę jutro rano wyjechać? – Tak. Dam ci powóz.

– D-d-do cholery z powozem, trzymam się w siodle lepiej od ciebie.

– No dobrze. Ale dam ci paru ludzi z eskorty. – Mackenzie nabrał głęboko powietrza w płuca. – Może uda ci się przekonać Toma...

Nie. Nie mogę. Proszę cię, tato, nie wymagaj tego ode mnie.

Dał jej wtedy ostatni dar, którym dysponował:

– Ani przez chwilę nie myślałem o tym, żeby cię tu zatrzymać. Zmuszałbym cię w ten sposób do zaniedbania obowiązku. Powiedz Tomowi, że nadal uważam go za odpowiedniego męża dla ciebie. Dobranoc, kaczuszek. – Powiedział to zbyt szybko, ale nie odważył się zwlekać. Kiedy zaczęła płakać, musiał zdjąć jej ramiona ze swej szyi i wyjść z pokoju.

– Jednak nie spodziewałem się tylu zabitych!

– Ja też nie... na tym etapie. Obawiam się, że będzie jeszcze więcej, zanim bezpośredni cel zostanie osiągnięty.

– Mówiłeś mi...

– Wyrażałem nasze nadzieje, Mwyr. Sam dobrze wiesz, że Wielka Nauka jest dokładna tylko w najszerszej skali historii. Poszczególne zdarzenia podlegają fluktuacji statystycznej.

– Bardzo łatwo w ten sposób, nieprawdaż, opisywać śmierć istot rozumnych w błocie?

– Jesteś tu nowy. Teoria to jedna sprawa, a dostosowanie-jej do wymagań praktycznych – inna. Czy myślisz, że nie boli mnie oglądanie tego, co sam pomagałem zaplanować?

– Och, wiem, wiem. Co wcale mi nie pomaga żyć z moim poczuciem winy. – Chcesz chyba powiedzieć: żyć ze świadomością swej odpowiedzialności. – To twoje określenie.

– Nie, to nie tylko wybieg semantyczny. Rozróżnienie jest wyraźne. Czytałeś sprawozdania i oglądałeś filmy, ale, ja przybyłem z pierwszą wyprawą. A jestem tu od ponad dwóch stuleci. Ich cierpienie to nie abstrakcja dla mnie.

– Ale kiedy ich odkryliśmy, wszystko było zupełnie inaczej. Pokłosie ich wojen jądrowych wciąż było obecne w swoich najstraszliwszych przejawach. To wtedy nas potrzebowali, ci biedni, wygłodzeni anarchowie... a my, my potrafiłszy tylko się przyglądać.

– Już wpadasz w histerię. Czyż mogliśmy wejść tu na ślepo, nie wiedząc o nich wszystkiego, i spodziewać się odegrania ważniejszej roli niż tylko rola kolejnego elementu niszczącego? Elementu, którego wpływu my sami nie moglibyśmy przewidzieć. Byłoby to postępowanie zbrodnicze, jak operacja dokonana przez chirurga, który zabrał się do niej od razu po zobaczeniu pacjenta, nie przeczytawszy nawet historii jego choroby. Musieliśmy pozwolić im pójść własną drogą, podczas gdy sami badaliśmy ich w tajemnicy. Nie masz pojęcia, jak ciężko pracowaliśmy, by zdobyć informacje i zrozumieć wszystko. I to jeszcze nie koniec. Dopiero siedemdziesiąt lat temu poczuliśmy się na tyle pewni, żeby wprowadzić nowy czynnik do tej wybranej społeczności. Gdy poznamy więcej, plan zostanie odpowiednio dostosowany. Nasza misja może potrwać i tysiąc lat.

– Ale tymczasem udało im się wygrzebać z tej ruiny. Znajdują własne odpowiedzi na swe problemy. Jakie mamy prawo...

– Zaczynam się zastanawiać, Mwyr, jakie ty masz prawa do tytułu choćby praktykanta psychodynamika. Zastanów się, co to są właściwie te ich odpowiedzi. Większa część planety jest nadal w stadium barbarzyństwa. Ten kontynent poszedł najdalej naprzód na drodze do odrodzenia ze względu na największy potencjał myśli i sprzętu technicznego przed zniszczeniem. Ale jakąż powstała z tego struktura społeczna? Mnóstwo skłóconych państweczek dziedzicznych. Feudalizm, w którym równowaga siły politycznej, wojskowej i gospodarczej zależy – co za anachronizm! – ni mniej, ni więcej tylko od możnowładztwa ziemskiego. Rozwija się zupełnie niezależnie ze dwadzieścia różnych języków i subkultur. Powstał ślepy kult techniki odziedziczony po dawnym społeczeństwie, który, jeśli się go nie opanuje, doprowadzi ich w końcu z powrotem do cywilizacji mechanistycznej, takiej jak ta, która zniszczyła siebie samą trzy wieki temu. Czy trapi cię to, że zginęło kilkaset osób, bo zaaranżowana przez naszych agentów rewolucja nie przebiegła tak sprawnie, jak się spodziewaliśmy? No więc sama Wielka Nauka daje ci słowo, że bez naszej pomocy cierpienie tej rasy w ciągu następnych pięciu tysięcy lat, brane w całości, przeważyłyby o trzy rzędy wielkości ten ból, który zmuszeni jesteśmy teraz zadawać.

– Tak. Oczywiście. Zdaję sobie sprawę, że ponoszą mnie emocje. Chyba trudno na początku się od nich od razu uwolnić.

– Powinieneś się cieszyć, że na początek zetknąłeś się z łagodniejszymi aspektami twardych wymogów planu. Najgorsze jeszcze przed nami.

– Tak mi też powiedziano.

– W kategoriach abstrakcyjnych. Zważ jednak na rzeczywistość. Władze, które mają ambicje przywrócenia starego porządku, będą postępować agresywnie wikłając się tym samym w długotrwałe wojny z potężnymi sąsiadami. Arystokracja i wolni posiadacze wyginą w tych wojnach zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, w wyniku działania czynników gospodarczych, których ze względu na swą naiwność nie będą potrafili ocenić. Obecny system zostanie zastąpiony przez demokrację, najpierw zdominowaną przez skorumpowany kapitalizm, a potem po prostu przez tych, którzy będą dzierżyć władzę centralną. Nie stworzy to jednak miejsca dla wysiedlonego proletariatu, byłych właścicieli ziemskich oraz mniejszości narodowych wcielonych do organizmu państwowego w wyniku podbojów. Będą oni żyzną glebą dla ziarna demagogii. Imperium to będzie przechodzić przez nie kończące się kryzysy, okresy niezadowolenia społecznego, despotyzmu, upadku i najazdów z zewnątrz. Och, za wiele rzeczy będziemy ponosić odpowiedzialność, gdy się to wszystko skończy.'

– *Czy sądzisz... gdy zobaczymy ostateczny wynik... czy zmaże to z nas przelaną krew?*

– *Nie. My zapłacimy najwyższą cenę.*

Wiosna w górnej Sierra jest zimna i mokra; śnieg topnieje z podszycia leśnego i gigantycznych głazów, rzeki wzbierają, aż dźwięczą ich łożyska, wietrzyk marszczy kałuże na drodze. Pierwsze tchnienie zieleni na osikach zdaje się nieskończenie delikatne wobec sosen i świerków, ciemniejących na przejrzystym niebie. Nisko opada kruk – kra, kra – uwaga na tego piekielnego drapieżnika! Potem jednak przekracza granicę lasu i świat staje się splątana masą błękitów i szarości, gdzie słońce świeci na resztki śniegu, a wiatr dudni ci w uszach.

Kapitan Thomas Danielis z artylerii polowej Lojalistycznej Armii Stanów Pacyficznych skierował konia w bok. Był to młody mężczyzna o czarnych włosach, zadartym nosie i szczupłej sylwetce. Jego żołnierze ślizgali się na rozmokłej ziemi i klęli upaprani błotem od stóp do hełmów usiłując wyciągnąć uwięzione w nim działo samobieżne. Spirytusowy silnik działał zbyt słabo, by zdobyć się na coś więcej poza jałowym obracaniem kół. Obok chlupocząc maszerowali piechurzy, z opuszczonymi ramionami, wyczerpani wysokością, biwakowaniem w wilgoci oraz kilogramami błocka na każdym bucie. Maszerowali wijącym się szeregiem od podnóża spiczastej turni, po krętej drodze, a potem przez grzbiet górski w przedzie. Powiew wiatru przyniósł zapach potu do nozdrzy Danielisa.

To dobre chłopaki, pomyślał. Brudni, zawzięci, dawali z siebie wszystko, choćby z przekleństwem na ustach. Przynajmniej jego kompania dostanie dziś gorący posiłek, nawet gdyby trzeba było w tym celu ugotować kwatermistrza.

Podkowy końskie uderzały w blok starożytnego betonu wyłaniający się spod błota. Gdyby wróciły dawne czasy... ale pobożnych życzeń nie da się przerobić na pociski. Za tą partią gór leżały głównie tereny pustynne, do których pretensje rościli Święci. Nie stanowili już zagrożenia, ale wciąż jeszcze wymiana handlowa z nimi była niewielka. Dlatego też nikt nie uznał za celowe naprawienia nawierzchni dróg w górach, a linia kolejowa kończyła się w Hangtown. Dlatego również siły ekspedycyjne kierowane w rejon Tahoe musiały przebijać się przez bezludne lasy i pokryte lodem wyżyny. Oby Bóg miał tych biedaków w opiece.

Oby Bóg miał w opiece i tych z Nakamury, pomyślał Danielis. Usta mu się zacisnęły, zwarł z klaśnięciem dłonie i spiął konia ostrogami z niepotrzebną gwałtownością. Spod podków posypały się iskry, gdy zwierzę pogalopowało poza drogę, ku najwyższemu miejscu grani. Szabla tłukła się kapitanowi o nogę.

Ściągnąwszy wodze wziął do ręki lornetkę polową. Stąd mógł sięgnąć wzrokiem poza szeroką, skotłowaną górzystą panoramę, gdzie cienie chmur płynęły ponad skałami i głazami, w głąb mrocznego kanionu i dalej, na drugą stronę. Spod kamieni sterczały nieliczne kępki trawy, brunatne jak mumia, a gdzieś w labiryncie skał rozlegał się gwizd świstaka za wcześniej przebudzonego z zimowego snu. Zamku nie było jeszcze widać. Nie spodziewał się go zresztą. Znał tę okolicę... och, jak dobrze ją znał!

Ale za to mogły się pojawić pierwsze oznaki działań wroga. Dziwnie było dojść tak daleko bez śladów jego obecności, zresztą w ogóle czyjejkolwiek obecności; wysyłać patrole w poszukiwaniu buntowniczych oddziałów, których nie dawało się odnaleźć; jechać na koniu napinając mięśnie grzbietu w oczekiwaniu strzały snajpera, której nigdy nie było. Stary Jimbo Mackenzie znany był z

tego, że nie czekał beczynnie za murami, a i Włóczykije nie na darmo nosili swe przezwisko.

O ile Jimbo jeszcze żyje. Skąd mogę mieć pewność? Ten krążący w górze myszołów może być tym, który wydziobał mu oczy.

Danielis przygryzł wargi i zmusił się do uważnego spojrzenia przez lornetkę. Nie myśl o Mackenziem – o tym, że przewyższał cię w hałaśliwości, pijaństwie i dowcipie, a tobie to nigdy nie wadziło; jak siedział marszcząc brwi nad szachownicą, przy której mogłeś z nim wygrać dziesięć razy na dziesięć, a jemu nie zależało; jaki dumny i szczęśliwy był podczas wesela... Nie myśl też o Laurze, która starała się, byś nie wiedział, jak często płacze w nocy; która nosi teraz pod sercem jego wnuka i samotnie budzi się w nocy ze złych snów brzemienności. Każdy z tych wojaków brnących w kierunku twierdzy, która uśmierciła wszystkie wysłane przeciwko niej armie – każdy z nich ma kogoś w domu, a piekło raduje się na myśl o tym, ilu ma krewnych po, stronie buntowników. Lepiej szukać śladów wroga i dać sobie spokój.

Zaraz! Danielis zeszywniał. Jakiś jeździec... Wyostrzył obraz w lornetce. Jeden z naszych. Armia Fallona uzupełniła dotychczasowy mundur niebieską opaską. Powracający zwiadowca. Mrówki przebiegły mu po plecach. Postanowił sam pierwszy wysłuchać raportu. Żołnierz jednak miał wciąż do pokonania ponad kilometr, z konieczności powoli poruszając się po nierównym terenie. Nie trzeba było się śpieszyć z wychodzeniem mu naprzeciw. Danielis kontynuował obserwację terenu.

Pojawił się samolot zwiadowczy, niezgrabna ważka odbijająca światło słoneczne kręgiem śmigła. Jego warkot odbijał się echem od ścian skalnych, tam i z powrotem. Z pewnością wspomagał zwiadowców posługując się dwustronną łącznością radiową. Później otrzyma zadania samolotu naprowadzającego dla artylerii. Nie było sensu wykorzystywać go w charakterze bombowca; Fort Nakamura nie obawiał się niczego, co mogło zrzucić dzisiejsze mizerne lotnictwo, a był w stanie bez większych trudności zestrzelić samolot.

Z tyłu za Danielisem rozległo się skrzypienie butów. Człowiek i koń obrócili się jednocześnie. W ręku kapitana pojawił się pistolet.

Opuścił go natychmiast.

– Och. Proszę mi wybaczyć, Filozofie.

Człowiek w błękitnej szacie skinął głową. Uśmiech złagodził surowe rysy jego twarzy. Musiał już mieć z sześćdziesiąt lat, o czym świadczyły siwe włosy i pokryta zmarszczkami skóra, ale po tych wyniosłościach skakał jak kozica. Na jego piersi płonął złocisty symbol Jin i Jang.

– Niepotrzebnie trwasz w takim napięciu, synu – rzekł. Lekki akcent teksański rozciągał jego słowa. Esperzy przestrzegali praw krajów, które zamieszkiwali, ale sami nie uznawali żadnego z nich za ojczyznę; może odpowiadało im pokrewieństwo z ludzkością w całości, zapewne też w końcu ze wszystkimi istotami żywymi w czasoprzestrzennym uniwersum. Tym niemniej Stany Pacyficzne zyskały niewymownie na znaczeniu, gdy swą niedostępną Centralę Bractwo ustanowiło w San Francisco po całkowitym odbudowaniu miasta. Nikt się nie sprzeciwił – wręcz przeciwnie -życzeniu Wielkiego Poszukiwacza, by Filozof Woodworth towarzyszył siłom ekspedycyjnym w roli obserwatora. Nie sprzeciwili się nawet kapelani; współczesne kościoły pojęły w końcu, że nauki Esperów są neutralne wobec religii.

Danielis zdobył się na uśmiech.

– Czy można mnie winić?

– Nie winić. Ale doradzać. Twoja postawa nie przynosi pożytku. Tylko cię wyczerpuje. Walczysz w tej bitwie już od wielu tygodni, nim się jeszcze zaczęła. Danielis przypomniał sobie tego apostoła, który odwiedził go w domu w San Francisco – na jego zaproszenie, w nadziei, że da Laurze trochę spokoju. Nauki tamtego były jeszcze bardziej swojskie: „Należy myć tylko jeden talerz naraz”. Na to wspomnienie zapiekło Danielisa w oczach, więc rzucił szorstko:

– Może bym się odprężył, gdybyś zechciał użyć swej mocy i powiedział mi, co nas czeka.

– Nie jestem adeptem, synu. Niestety, za często bywam w świecie materialnym. Ktoś musi wykonywać praktyczne prace dla Bractwa; pewnego dnia uzyskam możliwość spoczynku i zbadania granic tego, co we mnie. Ale trzeba zacząć wcześniej i trzymać się tego przez całe życie, aby rozwinąć wszystkie swe możliwości. – Woodworth powiódł wzrokiem ponad szczytami; wyglądało, jakby się stapiał z ich samotnością.

Danielis zamilkł, nie chcąc przerywać tej medytacji. Zastanawiał się, jakim praktycznym celom ma służyć obecność Filozofa podczas tej wyprawy. Ma złożyć sprawozdanie, dokładniejsze, niż byłyby w stanie przygotować nie wyszkolone zmysły i niezdyscyplinowane uczucia. Tak, to musi być to. Esperzy mogli jeszcze zdecydować się przyłączyć do tej wojny. Choć z niechęcią, Centrala pozwalała czasem na wyzwolenie budzących grozę sił psychotronicznych, gdy coś poważnego groziło Bractwu; a sędzia Fallon bardziej był przyjazny Esperom, niż bywało to za czasów Brodsky'ego czy poprzedniego Senatu Szefów lub Izby Delegatów Narodowych.

Koń zadreptał w miejscu i parsknął. Woodworth ponownie spojrzał na jeźdźca. – Skoro mnie pytasz – rzekł – to ci powiem, że tu pewnie nie będzie za wiele do roboty. Sam byłem kiedyś zwiadowcą, zanim ujrzałem Drogę. W tej okolicy czuje się pustkę.

– Gdybyśmy tylko mogli mieć pewność! – wybuchnął Danielis. – Mieli całą zimę, podczas której mogli zrobić w tych górach, co tylko chcieli, zwłaszcza, że nas powstrzymywał śnieg. Każdy ze zwiadowców, których zdołaliśmy tam wysłać, opowiadał, że w Forcie praca wre jak w ulu... jeszcze nawet dwa tygodnie temu. Co oni wymyślili?

Woodworth nic nie odpowiedział.

Słowa płynęły z ust Danielisa; nie mógł się powstrzymać, musiał przesłonić jakoś wspomnienie Laury żegnającej go, gdy wyruszał na drugą wyprawę przeciwko jej własnemu ojcu, sześć miesięcy po tym, jak z pierwszej powróciły jedynie niedobitki:

– Gdybyśmy tylko mieli środki! Parę nędznych pociągów i samochodów, garstka samolotów, większość dostaw na wozach zaprzężonych w muły... co to za szybkość? A najbardziej mnie wścieka... to, że wiemy, jak robić to wszystko, co mieli ludzie w dawnych czasach. Mamy książki, informacje. Może więcej nawet niż nasi przodkowie. Sam widziałem, jak elektromechanik w Forcie Nakamura wytwarzał nadajniki tranzystorowe mające tak szerokie pasmo, że mogły przekazywać obraz telewizyjny – a nie były większe od mojej pięści. Widziałem czasopisma naukowe, laboratoria badawcze, biologię, chemię, astronomię, matematykę. I wszystko bezużytecznie!

– Niezupełnie – odrzekł łagodnie Woodworth. – Tak jak w przypadku mojego Bractwa, społeczność uczonych staje się ponadnarodowa. Drukarnie, radiotelefony, telepisy...

– Powtarzam: bezużyteczne. Bezużyteczne, bo nie mogą zapobiec zabijaniu człowieka przez człowieka, bo nie ma władzy tak silnej, by zmusić ich do posłuszeństwa. Bezużyteczne, bo nie

potrafią zdjąć dłoni rolnika z zaprzęgniętego w konie pługa, by położyć je na kierownicy traktora. Mamy wiedzę, lecz nie potrafimy jej stosować.

– Stосуje się ją, synu, tam gdzie nie wymaga to wielkiej ilości energii i urządzeń mechanicznych. Pamiętaj, że świat jest o wiele uboższy w zasoby naturalne niż przed bombami. Sam widziałem Czarne Krainy, tam gdzie burza ogniowa przeszła nad polami naftowymi Teksasu. – Pogoda ducha Woodswortha przygasła nieco. Znowu objął wzrokiem góry.

– Ropa jest gdzie indziej – nie ustępował Danielis. – A także węgiel, żelazo, uran, wszystko, czego nam trzeba. Ale świat nie zorganizował się w stopniu pozwalającym na wykorzystanie tych złóż. W żadnych ilościach. I zasiewamy Dolinę Centralną zbożami dającymi alkohol, aby można było puścić w ruch parę motorów; importujemy też drobne ilości innych towarów poprzez niewiarygodnie niesprawny łańcuch pośredników; a większość z tego, co dostaniemy, zjada nam wojsko. – Szarpnął głową w górę, wskazując tę część nieba, przez którą przeleciał po amatorsku wykonany samolot. – To jeden powód, dla którego musimy osiągnąć zjednoczenie. Abyśmy mogli zacząć odbudowę.

-- A drugi? – spytał cicho Woodsworth.

– Demokracja... prawo głosu dla wszystkich... – Danielis przełknął ślinę. I żeby ojcowie nie musieli znowu walczyć przeciwko synom.

– To są lepsze powody – rzekł Woodsworth. – Wystarczające, by uzyskać poparcie Esperów. Ale co do tych maszyn, których tak pożądasz... – Potrząsnął głową. – Nie, tu nie masz racji. To nie jest życie dla człowieka.

– Może i nie – powiedział Danielis. – Choć mój własny ojciec nie zostałby kaleką z przepracowania, gdyby miał jakieś maszyny do pomocy... Och, nie wiem. Najpierw rzeczy najważniejsze. Skończmy tę wojnę, a kłóćmy się później. – Przypomniał sobie o zwiadowcy, który znikł mu już z pola widzenia. – Wybacz mi, Filozofie, mam coś do zrobienia.

Esper uniósł dłoń w geście pokoju. Danielis odjechał cwałem.

Jechał obok drogi, rozpryskując wodę, gdy zobaczył człowieka, o którego mu chodziło, zatrzymanego przez majora Jacobsena. Major, który z pewnością wysłał zwiadowcę, siedział na koniu w pobliżu szeregu piechurów. Zwiadowca był Indianinem z plemienia Klamath; w spodniach ze skóry koźlecej zdawał się przysadzisty. Przez plecy miał przewieszony łuk. Wielu ludzi z północnych regionów wolało strzały niż broń palną: tańsze niż kule, bezszelestne, mniejszy zasięg, lecz taka sama skuteczność jak w przypadku broni odtylcowej. W dawnych złych czasach, zanim jeszcze Stany Pacyficzne zawarły swoją unię, łucznicy rozmieszczeni wśród ścieżek leśnych uratowali wiele miasteczek od podboju; a teraz wciąż jeszcze dbali o to, by unia nie była zbyt ścisła.

– A, kapitan Danielis – powitał go Jacobsen. – Jest pan w samą porę. Porucznik Smith miał właśnie złożyć raport o tym, co stwierdził jego pododdział. – I samolot – rzekł Smith niewzruszony. – To, co pilot zobaczył z powietrza, dodało nam odwagi, by tam pójść i sprawdzić samemu.

– I co?

– Nie ma nikogo.

– Co takiego?

– Fort został ewakuowany. Podobnie jak osada. Nie ma żywej duszy. – Ale... ale... – Jacobsen wziął się w garść. – Proszę mówić dalej.

– Obejrzeliliśmy ślady najlepiej, jak potrafiliśmy. Wygląda na to, że ludność cywilna opuściła osadę jakiś czas temu. Chyba na nartach i saniach; może udali się na północ, do jakiejś warowni. Sądzę, że wojsko jednocześnie przeniosło swój sprzęt, stopniowo, a to, czego nie dało się nieść w rękę, na końcu. Dlatego że pułk, jego oddziały wspierające, nawet artyleria polowa wycofały się ledwie trzy-cztery dni temu. Ziemia jest cała zryta. Poszli w dół, gdzieś na zachodni północny zachód, na ile można sądzić z tego, cośmy zobaczyli.

Jacobsen zakrztusił się. – Dokąd idą?

Silny podmuch powietrza uderzył Danielisa w twarz i wicherzył końskie grzywy. Kapitan słyszał za plecami powolny chłupot butów, stękanie kół, szum silników, klekotanie drewna i metalu, okrzyki i trzaski biczów poganiaczy mułów. Ale zdawało mu się, że dźwięki te dochodzą gdzieś z dala. Przed oczyma ujrzał mapę, zasłaniającą mu cały świat.

Armia Lojalistyczna ciężko walczyła przez całą zimę, od Trinity Alps do Puget Sound – bowiem Brodsky’emu udało się dotrzeć do zamku Mount Rainier, którego władca dostarczył mu urządzeń radionadawczych, a Rainier był zbyt dobrze ufortyfikowany, by zdobyć go od razu. Szefostwa i plemiona autonomiczne uzbroiły się, przekonane, że oto uzurpator zagraża ich cholernym drobnym przywilejom lokalnym. Wraz z nimi walczyli ich protegowani, choćby tylko dlatego, że żaden wieśniak nie nauczył się wyższej lojalności jak tylko wobec swego pana. Kanada Zachodnia, obawiająca się tego, co mógłby zrobić Fallon, gdy zyska po temu okazję, udzielała buntownikom pomocy, która z rzadka nawet była skryta.

Mimo to siły narodowe były potężniejsze: więcej sprzętu, lepsza organizacja, a przede wszystkim ideał dla przyszłości. Głównodowodzący O’Donnell nakreślił strategię: skoncentrować lojalne wojska w kilku punktach, przezwyciężyć opór, przywrócić porządek i ustanowić bazy w tym regionie, po czym udać się w inne miejsce. Strategia okazała się skuteczna. Rząd miał już władzę nad całym wybrzeżem, a jego jednostki morskie pilnowały Kanadyjczyków w Vancouver i strzegły ważnych szlaków handlowych na Hawaje; opanował także północną część stanu Waszyngton prawie do granicy z Idaho, dolinę Kolumbii, środkową Kalifornię aż do Redding. Pozostałe jeszcze zbuntowane Stacje i miasta były rozrzucone w górach, lasach, pustyniach. Jedno szefostwo za drugim padało pod naporem lojalistów, którzy rozbijali wroga w puch i odcinali go od zaplecza i nadziei. Jedynym prawdziwym zmartwieniem była Armia Sierry Cruikshanka, regularna armia, a nie jakaś zbieranina kmotków i mieszcuchów, liczna, groźna i fachowo dowodzona. Ta wyprawa przeciwko Fortowi Nakamura była jedynie niewielką częścią tego, co zapowiadało się na trudną kampanię.

Ale teraz Włóczykije wycofali się. Bez żadnej walki. Co oznaczało, że ich bracia, Pantery, również się ewakuowali. Nie podcina się gałęzi, na której się siedzi. A więc co? -- Zeszli w dolinę -- powiedział Danielis; w uszach nie wiadomo czemu zabrzmiała mu piosenka, którą kiedyś śpiewała Laura: „Tam gdzieś w dolinie, głębokiej dolinie...”

– Do diabła! -- wykrzyknął major. Nawet Indianin stęknął, jakby dostał cios w żołądek. – Nie, to niemożliwe. Wiedzielibyśmy o tym.

„Unieś głowę, posłuchaj wiatru”. Wiatr świstał ponad zmarzniętymi skałami. Jest mnóstwo ścieżek w lesie --- rzekł Danielis. – Piechota i kawaleria mogą je wykorzystać, jeśli żołnierze są przyzwyczajeni do takiej okolicy. A Pantery są. Pojazdy, wozy, działa są wolniejsze i trudniej im się przedostać. Ale wystarczy tylko, że nas obejdą, po czym wrócą na Czterdziestą i Pięćdziesiątą i rozniosą nas na strzępy, jeśli spróbujemy ich ścigać. Boję się, że nas usadzili.

– Wschodni stok... – odezwał się Jacobsen bez przekonania.

– Po co? Chce pan okupować kupę chwastów? Nie, jesteśmy tu w pułapce, dopóki nie rozmieszczą się na równinie. – Danielis zacisnął dłoń na siodle, aż pobieleły mu kłykcie. – Założyłbym się, że to pomysł pułkownika Mackenzie. To w jego stylu.

– Ale w takim razie są między nami i Frisco! A gdy prawie wszystkie nasze siły są na północy...

Między mną i Laurą, pomyślał Danielis.

– Proponuję, majorze – powiedział na głos – natychmiast odszukać dowódcę. A potem złapać się za radio. – Gdzieś znalazł jeszcze tyle siły, by unieść głowę. Wiatr siekł go po oczach. – To niekoniecznie jest klęska. Właściwie łatwiej będzie ich pobić w otwartym polu, jak dojdzie co do czego.

Na górze róże, na dole fiołki...

Deszcze, które stanowią zimę na nizinach Kalifornii, zbliżały się do końca. Na północ, po szosie, której nawierzchnia klaskała pod podkowami, Mackenzie jechał wśród wszechobecnej zieloności. Eukaliptusy i dęby stojące wzdłuż drogi wybuchały nowym listowiem. Za nimi po obu stronach rozciągały się szachownice pól i winnic o mieniących się odcieniach, sięgające aż do ścian dalekich wzgórz na prawo i bliższych, wyższych – na lewo. Domy wolnych rolników, które jeszcze kilka kilometrów wcześniej rozrzucone były wśród pól, teraz znikły zupełnie. Ten kraniec doliny Napa należał do wspólnoty Esperów z St. Helena. Nad zachodnim skrajem zgromadziły się chmury niczym pokryte bielą wzgórz. Wietrzyk przynosił do nozdrzy Mackenziego zapach rozwijającej się roślinności i zaoranej ziemi.

Z tyłu dudniło od ludzi. Włóczykije byli w marszu. Właściwy pułk trzymał się drogi, a trzy tysiące butów waliło w nawierzchnię jednocześnie z hałasem jakby trzęsienia ziemi; nie mniej hałasu sprawiały wozy i działa. Bezpośredniej groźby ataku nie było, ale należący do pułku kawalerzyści musieli jechać w szyku rozpostartym. Słońce błyskało na ich hełmach i ostrzach lanc.

Mackenzie skupił uwagę na drodze przed sobą. Między śliwami, których korony wyglądały jak spienione fale białych i różowych kwiatów, prześwitywały złotawe ściany i czerwone dachówki. Wspólnota była duża; obejmowała kilka tysięcy osób. Poczł ucisk w żołądku.

– Myślisz, że można im ufać? – zapytał nie po raz pierwszy. – Mamy tylko ich nadaną przez radio zgodę na rozmowy.

Speyer, który jechał obok niego, skinął głową.

– Sądzę, że zachowają się uczciwie. Szczególnie gdy nasi chłopcy zaczekają tuż przy murach. A zresztą Esperzy nie uznają przemocy.

– Tak, ale gdyby doszło do walki... wiem, że na razie nie mają zbyt wielu adeptów. Na to Bractwo istnieje zbyt krótko. Ale w takim zbiorowisku Esperów znajdzie się paru, którzy osiągnęli coś w tej ich cholernej psychotronice. Nie życzę sobie, aby moi ludzie otrzymywali uderzenia psychiczne albo żeby ich unoszono do góry i upuszczano, czy inna cholera.

Speyer spojrział na pułkownika spod oka. – Boisz się ich, Jimbo? – mruknął.

– Nie, do diabła! – Mackenzie zastanawiał się, czy w tym momencie skłamał, czy też nie. – Ale ich nie lubię.

– Robią wiele dobrego. Szczególnie wśród biednych.

– Jasne, jasne. Choć każdy porządny szef zawsze troszczy się o swych protegowanych, a mamy też takie instytucje jak kościoły i przytułki. Nie widzę powodu, dla którego sama działalność charytatywna – a mogą sobie na nią pozwolić przy tych dochodach z majątków – nie widzę powodu, żeby dawało im to prawo do wychowywania sierot i biednych dzieci, które przyjmują, w taki sposób, jak to właśnie oni robią: że potem ci biedni malcy nie potrafią żyć nigdzie indziej.

– Jak sam dobrze wiesz, celem tego wychowania jest zorientowanie ich ku tak zwanej granicy wewnętrznej. Która specjalnie nie interesuje amerykańskiej cywilizacji jako całości. Szczerze mówiąc, często zazdroszczę Esperom, nawet nie biorąc pod uwagę niezwykłych mocy, jakie rozwinęli w sobie niektórzy z nich.

– Ty, Phil? – Mackenzie wybałuszył oczy na przyjaciela. Zmarszczki na twarzy Speyera pogłębiły się.

– Tej zimy pomogłem zabić wielu moich rodaków – odrzekł cicho. – Moja matka, żona i dzieci siedzą stłoczone wraz z resztą wioski w forcie Mount Lassen, a gdy żegnałem się z nimi, wiedziałem, że może to na zawsze. A w przeszłości pomagałem zabijać wielu innych ludzi, którzy mnie osobiście nic złego nie zrobili. – Westchnął. – Często zastanawiałem się, jak to jest: doświadczyć pokoju zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz.

Mackenzie odsunął Laurę i Toma w niepamięć.

– Oczywiście – podjął Speyer – głównym powodem, dla którego ty... i ja, jeśli o to chodzi, nie ufamy Esperom, jest to, że stanowią oni czynnik dla nas obcy. Coś, co może ostatecznie zdławić całą koncepcję życia, w której się wychowywaliśmy. Wiesz co? Parę, tygodni temu, gdy byłem w Sacramento, wpadłem do jednego z laboratoriów badawczych na uniwersytecie, aby zobaczyć, co tam robią. Nie do wiary! Przeciętny żołnierz przysięgłby, że to czarna magia. Z pewnością było to bardziej niesamowite niż... czytanie w myślach czy też poruszanie przedmiotów siłą umysłu. Ale dla ciebie czy dla mnie to tylko następne świecące cacko. Będziemy ich mieli w bród.

A czemu tak? Bo laboratorium para się nauką. Ci ludzie zajmują się substancjami chemicznymi, elektroniką, cząstkami subwirusowymi. To pasuje do światopoglądu wykształconego Amerykanina. Ale mistyczna jedność stworzenia... nie, to nie nasze podwórko. Można tylko w jeden sposób osiągnąć jedność; odrzucając wszystko, w co dotychczas wierzyliśmy. W moim wieku czy twoim, Jimbo, człowiek rzadko jest gotów zniszczyć całe swe dotychczasowe życie i zacząć od nowa.

– Może i tak – Mackenzie stracił zainteresowanie. Osada była już bardzo blisko.

Obrócił się do kapitana Hulse'a, który jechał o kilka kroków z tyłu.

– Idziemy – powiedział. – Proszę wyrazić uszanowanie podpułkownikowi Yamaguchi i powiedzieć mu, że przekazuję mu dowództwo na czas do mego powrotu. Gdyby stwierdził coś podejrzanego, ma działać według swego uznania.

– Tak jest. – Hulse zsalutował i zręcznie zawrócił konia. Nie było praktycznej potrzeby, aby Mackenzie powtarzał to wszystko, co dawno już uzgodniono, ale pułkownik znał wartość rytuału. Spiał lekko swego gniadego wałacha, który przeszedł w trucht. Za plecami usłyszał trąbki przekazujące rozkazy oraz okrzyki sierżantów poganiających swe plutony...

Speyer dotrzymywał mu kroku. Mackenzie domagał się, by w rozmowach brał udział jeszcze jeden człowiek z jego strony. Sam nie mógł zapewne dorównać Esperowi wysokiej rangi, ale Phil może i da radę.

Nie należy się jednak spodziewać żadnej dyplomacji czy czegoś podobnego. Liczę na to. – Aby uspokoić myśli, skupił je na tym, co realne i najbliższe: na stuku kopyt końskich, unoszeniu się i opadaniu siodła, na końskich mięśniach napinających się pod jego udami, na skrzypieniu i dzwonieniu pasa przytrzymującego szablę, na czystej woni zwierzęcia... i nagle przypomniał sobie, że takie właśnie ćwiczenie zalecają Esperzy.

Żadne z ich osiedli nie było otoczone murem, jak większość miast i każda stacja szefów. Obaj oficerowie skręcili z drogi i wjechali na ulicę między domami o arkadowych portykach. W obie strony odbiegały przecznice. Osada nie zajmowała jednak dużej połaci ziemi, składała się bowiem ze wspólnie zamieszkujących grup, sodalicji czy superrodzin – czy też jak się komu podobało je nazwać. Był to powód pewnej wrogości wobec Bractwa oraz powstania ogromnej ilości nieprzyzwoitych dowcipów. Speyer jednak, który wiedział, co mówi, twierdził, że wśród Esperów zmiany partnerów seksualnych następują wcale nie częściej niż poza Bractwem. Chodziło po prostu o to, by uwolnić się od zaborczości; „to moje, a to twoje” – i aby wychować dzieci raczej jako część większej całości niż wyizolowanego klanu.

Dzieci stały pod osłoną portyków wytrzeszczając szeroko oczy. Były ich setki; wyglądały na zdrowe i szczęśliwe mimo naturalnej obawy przed przybyłymi. Mackenzie pomyślał jednak, że wyglądają poważnie i uroczyście, a wszystkie odziane były w te same błękitne szaty. Pośród nich stali dorośli; twarze mieli bez wyrazu. Kiedy pułk się zbliżał, wszyscy wrócili z pól. Cisza broniła miasta niczym barykada. Mackenzie poczuł, jak pot spływa mu po żebrach. Kiedy dotarł do głównego placu odetchnął głęboko.

Pośrodku placu tryskała fontanna, której basen miał kształt lotosu. Otaczały ją kwitnące drzewa. Z trzech stron plac okalały masywne budynki, z pewnością magazyny. Z czwartej zaś strony wznosiła się mniejsza budowla, jakby świątynia, ze zgrabną kopułą; była to z pewnością siedziba rady i miejsce spotkań. Na najniższym stopniu prowadzących do wejścia schodów stało sześciu mężczyzn w błękitnych szatach. Pięciu krzepkich młodzieńców otaczało szóstego, w średnim wieku, z symbolem Jin i Jang na piersiach. Jego twarz, sama w sobie pospolita, nosiła wyraz niewzruszonego spokoju.

Mackenzie i Speyer ściągnęli cugle. Pułkownik uniósł dłoń w pozdrowieniu. – Filozof Gaines? – spytał. – Nazywam się Mackenzie, a oto major Speyer. – Zaklął na siebie w duchu, że tak niezgrabnie mu to wyszło, i zastanawiał się, co ma zrobić z rękami. Postawę pięciu młodych rozumiał mniej więcej: obserwowali go z ledwie skrywaną wrogością. Miał jednak problem ze spojrzeniem w oczy Gainesowi. Przywódca osady pochylił głowę.

– Witajcie, panowie. Nie zechcecie wejść?

Mackenzie zsiadł z konia, przywiązał go do słupka i zdjął hełm. W tym otoczeniu jego znoszony czerwonobrunatny mundur zdawał mu się jeszcze bardziej obszarpany. – Dziękuję. Hm... nie mamy zbyt wiele czasu.

– Oczywiście. Proszę za mną.

Krocząc sztywno młodzi ludzie ruszyli za starszymi, przez przedsionek, a potem krótkim korytarzem. Speyer podziwiał zdobiącą go mozaikę.

– To cudowne – mruknął.

– Dziękuję panu – odrzekł Gaines. – Oto mój gabinet. – Otworzył drzwi wykonane z najwyższej jakości orzecha i gestem zaprosił przybyłych do środka. Kiedy zamknął drzwi za sobą, akolici pozostali na zewnątrz.

Pokój był urządzony skromnie; pobielone ściany zawierały niewiele ponad biurko, półkę z książkami i kilka taboretów. Otwarte okno wychodziło na ogród. Gaines usiadł. Mackenzie i Speyer poszli w jego ślady; było im niewygodnie na tego rodzaju meblach.

– Przejdźmy od razu do rzeczy – wyrzucił z siebie pułkownik. Gaines nie odezwał się. W końcu Mackenzie musiał brnąć dalej:

– Sytuacja jest taka: nasze siły rozlokowane po obu stronach wzgórz mają zająć Calistogę. W ten sposób będziemy mieli pod kontrolą zarówno dolinę Napa, jak i Księżycową... przynajmniej od północnej strony. Najlepsze miejsce dla skrzydła wschodniego jest tutaj. Planujemy wybudować umocniony obóz na tamtym polu. Przykro mi z powodu zniszczeń, jakim ulegną plony, ale otrzymacie odszkodowanie, kiedy tylko zostanie przywrócona prawowita władza. Potrzebujemy też żywności i lekarstw... rozumie pan, że musimy rekwirować takie rzeczy, ale nie dopuścimy, by ktoś z tego powodu nadmiernie ucierpiał, i będziemy wydawać pokwitowania. I, hm, w ramach środków ostrożności musimy umieścić kilku ludzi w tej osadzie, aby, że tak powiem, mieli na wszystko oko. Będą się starali jak najmniej przeszkadzać: W porządku?

– Statut naszego Bractwa gwarantuje nam wyłączenie z obowiązków wobec wojska – oświadczył spokojnym głosem Gaines. – Mówiąc szczerze, żaden uzbrojony człowiek nie ma prawa przekroczyć granicy ziemi należącej do którejkolwiek z osad Esperów. Nie mogę przyczynić się do łamania prawa, pułkowniku.

– Jeśli mamy już dzielić ów prawny włos na czworo, Filozofie – odezwał się Speyer – chciałem przypomnieć, że zarówno Fallon, jak i sędzia Brodsky ogłosili stan wojenny. Tym samym normalne prawa zostały zawieszane.

Gaines uśmiechnął się.

– Ponieważ tylko jeden rząd może być legalny – powiedział – proklamacje drugiego są z konieczności bezprawne i nie obowiązują. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że uprawnienia sędziego Fallona są silniejsze, szczególnie że jego strona ma pod kontrolą raczej większy jednolity obszar niż kilka pojedynczych szefostw.

– Już nie – warknął Mackenzie. Speyer powstrzymał go gestem.

– Zapewne nie śledził pan uważnie wydarzeń ostatnich paru tygodni, Filozofie – rzekł. – Niech pan pozwoli, że zrekapituluję. Dowództwo Sierry wyprzedziło Fallonitów i sprowadziło wojsko z gór. W środkowej Kalifornii nie napotkano prawie żadnego oporu, toteż szybko ją zajęliśmy. Mając Sacramento opanowaliśmy szlaki wodne i kolejowe. Nasze bazy sięgają na południe poza Bakersfield, zaś leżące nie opodal Yosemite i King's Canyon stanowią niezwykle silne punkty. Kiedy umocnimy ten północny kraniec zajętych przez nas terenów, siły Fallonitów znajdą się w pułapce między nami a potężnymi szefami, którzy nadal trzymają się w rejonie Trinity, Shasta i Lassen. Samo już to, że znaleźliśmy się tutaj, zmusiło wroga do ewakuacji Doliny Kolumbii, aby można było bronić San Francisco. Można mieć poważne wątpliwości co do tego, która strona obecnie przeważa pod względem rozległości zajętych terenów.

– A co z tą armią, która wyruszyła do Sierry przeciwko wam? – zagadnął bystrze Gaines. – Powstrzymaliście ją?

Mackenzie zmarszczył brwi.

– Nie. To nie żadna tajemnica. Przedostali się przez okolice Mother Lode i ominęli nas. Teraz są w San Diego i Los Angeles.

– To potężne siły. Czy macie zamiar bez końca ich unikać?

– W każdym razie spróbujemy – odrzekł Mackenzie. – Tu, gdzie się znajdujemy, mamy przewagę w łączności wewnętrznej. A i wielu wolnych rolników chętnie szepnie nam słówko o tym, co zaobserwują. Możemy skoncentrować siły w dowolnym punkcie, który wróg zaatakuje.

– Szkoda, że taki bogaty kraj jest również rozdierany wojną.

– Taak... to prawda.

– Nasz cel strategiczny jest oczywisty – rzekł Speyer. – Przerwaliśmy trasy komunikacyjne wroga pośrodku, pozostała im jedynie droga morska, która nie jest zbyt przydatna dla jednostek działających wewnątrz lądu. Odcieśliśmy mu dostęp do znacznej części jego zasobów żywności i sprzętu, a szczególnie do większości spirytusu napędowego. Szkielet naszej strony stanowią szefostwa, które są prawie samowystarczalnymi jednostkami gospodarczymi i społecznymi. Wkrótce będzie im się powodzić lepiej niż pozbawionej zaplecza armii, której mają stawić czoło. Myślę, że sędzia Brodsky wróci do San Francisco przed jesienią.

– O ile wasze plany się powiodą – rzekł Gaines.

– To nasze zmartwienie. – Mackenzie pochylił się opierając zwiniętą w kułak dłoń na kolanie. – No, dobrze, Filozofie. Wiem, że wolałby pan widzieć Fallona u steru, ale sądzę, że ma pan dość rozsądku na to, by nie upierać się przy przegranej sprawie. Możemy liczyć na waszą współpracę?

– Bractwo nie uczestniczy w sprawach politycznych, pułkowniku, chyba że zagrożone jest jego własne istnienie.

– A, daj pan spokój. Przez „współpracę” rozumiem jedynie to, byście się nie plątali nam pod nogami.

– Obawiam się, że to również trzeba zakwalifikować jako współpracę. Nie możemy tolerować żadnych urządzeń wojskowych na naszych terenach. Mackenzie uważnie przyjrzał się twarzy Gainesa, która pozostała niewzruszona, jakby była wykuta z granitu, i zadał sobie pytanie, czy aby dobrze słyszał. – To znaczy, że nas wyrzucacie? – zapytał obcym głosem.

– Tak – odrzekł Filozof.

– Kiedy nasze działa są wycelowane w waszą osadę?

– Czy naprawdę strzelałby pan do kobiet i dzieci, pułkowniku?

Och, Noro...

– Nie musimy. Nasi ludzie, mogą tu w jednej chwili wmaszerować.

– Przeciwko uderzeniom psychicznym? Błagam pana, by nie wysyłał pan tych chłopców na zagładę.

Gaines zamilkł na chwilę, po czym podjął: – Mógłbym także dodać, że tracąc swój pułk naraża

pan całą waszą sprawę. Pozwalamy wam obejść nasze tereny i skierować się do Calistogi.

Pozostawiając za sobą gniazdo Fallonitów, dokładnie na przecięciu mojej linii najuroczyściej ostrzec, że wszelkie siły zbrojne, które tu wejdą, zostaną zniszczone. Chyba jednak lepiej pojedę po chłopców. Phil nie może za długo trzymać tamtych pod strażą.

Wysoki mężczyzna podszedł do słupka.

– Który z tych koni należy do pana? – spytał uprzejmie.

Coś za bardzo chce się mnie pozbyć... O jasny gwint! Tu muszą być tylne drzwi! Mackenzie obrócił się na pięcie. Esper krzyknął. Pułkownik runął pędem z powrotem przez przedsionek. Jego buty wywoływały echo w korytarzu. Nie, nie na lewo, tam jest tylko gabinet. Na prawo... za tym rogiem...

Przed nim rozciągał się długi korytarz. Pośrodku widać się spirala schodów. Pozostali Esperzy już na nich byli.

– Stać! – krzyknął Mackenzie. – Stój, bo strzelam!

Dwaj znajdujący się na przedzie pomknęli przed siebie. Pozostali obrócili się i pobiegli w dół, ku niemu.

Strzelił uważnie, starając się raczej obezwładniać, a nie zabijać. Korytarz zawibrował od detonacji. Esperzy padli jeden po drugim z kulą w nodze, biodrze czy ramieniu. Wybierając tak niewielkie cele Mackenzie spudłował kilkakrotnie. Kiedy więc wysoki mężczyzna, jako ostatni, dopadł go z tyłu, iglica rewolweru szczęknęła w pustej komorze.

Mackenzie dobył szabli i uderzył wysokiego płazem ostrza w głowę. Esper zachwiał się. Mackenzie minął go i wbiegł po schodach. Wiły się jak w jakimś koszmarze. Miał wrażenie, że serce mu pęka na kawałki.

U szczytu schodów był podest z żelaznymi drzwiami. Jeden człowiek majstrował przy zamku; drugi zaatakował pułkownika.

Mackenzie wcisnął ostrze szabli Esperowi między nogi. Gdy jego przeciwnik potknął się, pułkownik walnął go lewym sierpowym w szczękę. Esper osunął się po ścianie. Mackenzie schwycił pozostałego za szatę i cisnął nim o podłogę.

– Wyoście się stąd – warknął. Pozbierali się i obrzucili pułkownika nienawistnym spojrzeniem. Mackenzie świsnął szablą w powietrzu. – Od tej chwili nie będę nikogo oszczędzał – oświadczył.

– Idź po pomoc, Dave – powiedział ten, który otwierał drzwi. – Ja będę na niego uważał. – Drugi Esper chwiejąc się zszedł na dół, zaś pierwszy starał się utrzymać poza zasięgiem szabli.

– Czy mam cię zniszczyć? – spytał.

Mackenzie przekręcił gałkę drzwi za swoimi plecami, ale bez skutku.

– Nie wierzę, żebyś to mógł zrobić – powiedział. – W każdym razie bez tego, co jest za tymi drzwiami.

Esper starał się opanować. Płynęły nieznośnie długie minuty. W końcu z dołu dał się słyszeć hałas. Esper wskazał na drzwi.

– Tam są jedynie narzędzia rolnicze – rzekł – ale ty masz tylko to ostrze. Poddasz się?

Mackenzie splunął na podłogę. Esper zszedł na dół.

Wkrótce w polu widzenia pojawili się napastnicy. Sądząc po zamieszaniu mogło ich być ze stu, ale z powodu spiralnego układu schodów Mackenzie widział tylko dziesięciu czy piętnastu – barczystych parobków z zakasanyimi szatami i uniesionymi ostrymi narzędziami. Podest był zbyt szeroki dla skutecznej obrony. Pułkownik zbliżył się do schodów, gdzie miał do czynienia tylko z dwoma atakującymi naraz.

Na czele szli dwaj uzbrojeni w sierpy. Mackenzie odparował jeden cios i ciął szablą. Ostrze weszło w ciało i sięgnęło kości. Trysnęła krew, niewiarygodnie czerwona, nawet w przyćmionym świetle na schodach. Ranny upadł na ziemię z wrzaskiem. Mackenzie uchylił się przed ciosem jego towarzysza. Metal zgrzytnął o metal, ostrza się zwały. Pułkownik poczuł, jak tamten przegina mu ramię. Spojrzał prosto w szeroką, ogorzałą twarz. Kantem dłoni uderzył młokosa w krtań. Esper padł pociągając za sobą tego, który stał za nim. Rozwikłanie powstałej plątaniny i wznowienie ataku trwało jakiś czas.

Pułkownik dostrzegł, jak kolejny Esper zamierza się widłami na jego brzuch. Udało mu się schwycić je lewą ręką za trzonek, odchylić w bok zęby i sięgnąć trzymające widły palce. Jakaś kosa rozorała mu prawy bok. Zobaczył własną krew, ale nie czuł bólu. Powierzchnowa rana, nic więcej. Śmigał szablą w przód i w tył. Czoło atakujących odsunęło się od świszczącej śmierci. Ale na Boga, kolana mam jak z gumy, nie wytrzymam dłużej niż pięć minut.

Rozległ się dźwięk trąbki, potem odgłosy strzałów. Tłum na schodach zamarł w bezruchu. Ktoś krzyknął.

Kopyta zadudniły o podłogę na dole. Jakiś głos zawołał:

– Hej, wy tam! Przestańcie natychmiast! Rzućcie tę broń i schodźcie pojedynczo. Pierwszy, który spróbuje jakichś sztuczek, dostanie kulę w łeb.

Mackenzie oparł się na szabli i usiłował złapać oddech. Ledwie zauważył, że Esperów ubywa.

Kiedy poczuł się nieco lepiej, podszedł do jednego z okienek i wyjrzał na dwór. Na placu dostrzegł kawalerzystów. Piechoty jeszcze nie było widać, ale usłyszał odgłos ich kroków.

Zjawił się Speyer wraz z sierżantem saperów i kilkoma szeregowcami. Major pośpieszył ku pułkownikowi.

– Jak się czujesz, Jimbo? Jesteś ranny!

– Draśnięcie – odrzekł Mackenzie. Odzyskiwał już siły, choć nie towarzyszyła temu radość ze zwycięstwa, ale raczej świadomość samotności. Rana zaczęła piec. – Nie ma sobie czym głowy zawracać. Popatrz zresztą.

– Tak, od tego się nie umiera. No dobrze, chłopcy, otwórzcie te drzwi. Saperzy ujęli narzędzia i zaatakowali zamek z animuszem częściowo zapewne wywołanym przerażeniem.

– Jak to się stało, że zjawiliście się tak szybko? – spytał Mackenzie.

– Domyślałem się, że będą kłopoty – powiedział Speyer – więc jak usłyszałem strzelaninę, wyskoczyłem przez okno i pogałem do koni. Było to na moment przed atakiem tych osiłków; odjeżdżając widziałem, jak się gromadzą. Nasza kawaleria nadszedła prawie natychmiast, a piechota nie pozostała daleko w tyle. – Napotkano jakiś opór?

– Żadnego, po tym jak wystrzeliliśmy parę razy w powietrze. – Speyer rozejrzał się. – Teraz już

panujemy nad sytuacją.

Mackenzie popatrzył na drzwi.

– Hm – odezwał się – teraz już nie żałuję, że wyciągnęliśmy broń tam w gabinecie. Wygląda na to, że adepci faktycznie polegają na zwykłej, dawnej broni, co? A podobno w osadach Esperów nie ma broni; tak twierdzą ich statuty... Świetnie to odgadłeś, Phil. Jak ci się udało?

– Zastanowiło mnie trochę, czemuż to wódz musi wysyłać gońca po ludzi, którzy podobno są telepatami. No, już otwarte!

Zamek ustąpił ze szczękiem. Sierżant otworzył drzwi. Mackenzie i Speyer weszli do wielkiego pomieszczenia bezpośrednio pod kopułą.

Chodzili po nim przez dłuższy czas, bez słowa, pośród przedmiotów wykonanych z metalu i trudniejszych do zidentyfikowania substancji. Nic tu nie było znajome. Mackenzie zatrzymał się w końcu przed helisą wystającą z przezroczystego sześcianu. Wewnątrz niego tworzyła się bezkształtna ciemność, przetykana jakby drobnymi gwiazdkami.

– Chodziło mi po głowie, że może Esperzy znaleźli skrytkę z czymś starym, sprzed wojny – rzekł stłumionym głosem. – Jakaś cudowną broń, której nie zdołano użyć. Ale to mi na to nie wygląda. Jak myślisz?

– Nie – odparł Speyer. – To mi w ogóle nie wygląda na przedmioty wykonane ludzką ręką.

– *Ale czy nie rozumiesz? Zajęli osadę! To stanowi dowód dla świata, że Esperzy nie są niezwyciężeni. A na dodatek w ich ręce dostał się arsenał.*

– *Nie miej obaw w związku z tym. Żadna nie wyszkolona osoba nie zdoła uruchomić tych przyrządów. Obwody są zablokowane do chwili pojawienia się w okolicy osoby emanującej określone promieniowanie mózgowie, które uzyskuje się w wyniku uwarunkowania. To samo uwarunkowanie sprawia, że tak zwani adepci nie mogą ujawnić nawet części swej wiedzy tym, którzy nie dostąpili wtajemniczenia, niezależnie od wywieranej na nich presji.*

– *Tak, wiem. Ale nie to miałem na myśli. Przeraza mnie fakt, że owo odkrycie stanie się powszechnie znane. Wszyscy się dowiedzą, że adepci Esperów jednak nie zgłębiają niepojętych tajemników psychiki, tylko mają dostęp do zaawansowanych nauk ścisłych. Nie tylko doda to ducha buntownikom, ale co gorsza spowoduje, że wielu, a może większość, członków rozczaruje się do Bractwa.*

– *Nie od razu. W obecnych warunkach wieści wędrują powoli. A poza tym, Mwyr, nie doceniasz zdolności umysłu ludzkiego do pomijania danych, które stoją w sprzeczności z tym, co człowiek raz przyjął za swoje.*

– *Ale...*

– *No to załóżmy najgorsze. Przypuśćmy, że wiara ginie i Bractwo się rozpada.*

Byłby to poważny cios dla planu, ale nie śmiertelny. Psychotronika to po prostu małeńki element ziemskiej kultury, który, jak wykryliśmy, jest na tyle potężny, by posłużyć za motywację nowej orientacji ku życiu. Są też inne – na przykład powszechna wiara w czary wśród klas mniej wykształconych. Możemy znowu zacząć na innej podstawie, jeśli będzie trzeba. Konkretna postać tej wiary nie jest ważna. Będzie ona jedynie szkieletem dla właściwej struktury: dla tworzącej

wspólnotę, niematerialistycznej grupy społecznej, ku której będzie się zwracać coraz więcej ludzi tylko z braku czegoś innego, kiedy rozpadnie się powstające imperium. Ostatecznie nowa kultura będzie w stanie odrzucić i odrzuci te wszystkie przesady, które dają jej impuls wstępną.

– Cofnęliśmy się przynajmniej o sto lat.

– To prawda. Będzie znacznie trudniej wprowadzić zasadniczo obcy element teraz, gdy autochtoniczne społeczeństwo wytworzyło własne silne instytucje, niż w przeszłości. Chciałbym jedynie zapewnić cię, że nie jest to niewykonalne. Nie proponuję jednak, by aż tak bardzo wypuścić wszystko spod naszej kontroli. Esperów można uratować.

– Jak?

– Trzeba interweniować bezpośrednio.

– Czy zostało to wyliczone jako nie do uniknięcia?

– Tak. Matryca daje odpowiedzi jednoznaczne. Mnie to się również nie podoba. Jednak działanie bezpośrednio zdarza się częściej, niż mówimy to naszym uczniom w szkołach. Najzgrabniej byłoby oczywiście ustanowić takie warunki wstępne w społeczeństwie, żeby jego ewolucja w pożądanym kierunku następowała automatycznie. Co więcej, pozwoliłoby to nam uwolnić się od przykrego poczucia winy z powodu rozlewu krwi. Niestety, Wielka Nauka nie rozpatruje codziennych szczegółów praktycznych.

W tym przypadku pomożemy pokonać reakcjonistów. Następnie władze podejmą tak ostre kroki przeciwko pokonanym przeciwnikom, że wielu spośród tych, którzy uwierzą w to, co znaleziono w St. Helena, zginie, zanim zdoła przekazać tę wieść dalej. A reszta... tych zdyskredytuje ich porażka. Z pewnością historię tę będzie się jeszcze tu i tam opowiadać szeptem przez wiele pokoleń. Ale co z tego? Ci, którzy wierzą w Drogę, doznają w większości wzmocnienia swej wiary poprzez sam proces zaprzeczania tym paskudnym posądzeniom. Im więcej osób, zarówno zwykłych obywateli, jak i Esperów będzie odrzucało materializm, tym bardziej owa legenda będzie się wydawać fantastyczna. Okaże się oczywiste, że pewni starożytni wymyślili tę historię, by tłumaczyła fakt, którego w swej ignorancji nie potrafili pojąć.

– Rozumiem...

– Nie jesteś tu szczęśliwy, prawda, Mwyr?

– Nie potrafię powiedzieć. Wszystko jest tak zniekształcone...

– Ciesz się, że nie wystano cię na jedną z naprawdę obcych planet.

– Może i byłoby lepiej. Myśli zajęte byłyby wrogim środowiskiem. Zapomniałoby się, jak daleko jest do domu.

– Trzy lata w podróży.

– Mówisz to tak zwyczajnie. Jak gdyby te trzy lata spędzone na pokładzie nie równały się pięćdziesięciu w czasie kosmicznym. Jak gdyby można się było spodziewać statku z nową zmianą personelu codziennie, a nie raz na sto lat. L... jak gdyby region zbadany przez nasze statki stanowił jakąś poważniejszą część tej galaktyki!

– Ów region powiększy się z czasem, by w końcu ogarnąć całą galaktykę.

– Tak, tak, tak. Wiem. Jak ci się wydaje, dlaczego postanowiłem zostać psychodynamikiem?

Dlaczego tu jestem i uczę się wtrącać w przyszłość świata, do którego nie należę? „Tworzyć unię istot rozumnych, w której każda rasa członkowska będzie krokiem w kierunku opanowania wszechświata przez życie”. Szczytne hasło! W praktyce jednak wydaje się, że tylko kilka wybranych ras będzie się cieszyć tą swobodą owego wszechświata.

– Wcale nie, Mwyr. Zastanów się nad tymi, do których spraw wtrącamy się, jak mówisz. Zwróć uwagę, do jakich celów wykorzystali energię jądrową, gdy ją mieli. Przy obecnym tempie rozwoju odzyskają ją za jedno czy dwa stulecia. Wkrótce potem zaczną budować statki kosmiczne. Nawet biorąc pod uwagę, że zwłoka łagodzi skutki kontaktu międzygwiazdowego, owe skutki kumulują się. Chciałbyś więc, aby taka drapieżna banda rozprzestrzeniła się po galaktyce?

Nie, lepiej będzie, jeśli najpierw staną się cywilizowani od środka; potem zobaczymy, czy można im ufać. Jeśli nie, to przynajmniej będą szczęśliwi na swej własnej planecie, wedle stylu życia opracowanego dla nich przez Wielką Naukę. Pamiętaj, że od niepamiętnych czasów dążą do powszechnego pokoju, ale nie uda im się go osiągnąć samodzielnie. Nie uważam siebie za kogoś wyjątkowo dobrego, Mwyr, ale dzieło, którego dokonujemy, sprawia, że nie czuję się w kosmosie całkowicie bezużyteczny.

Tego roku awansowano szybko, bowiem straty były wysokie. Kapitan Thomas Danielis doczekał się stopnia majora za wybitne zasługi w zdławieniu buntu mieszkańców miasta Los Angeles. Wkrótce potem doszło do bitwy pod Maricopą, podczas której lojaliści ponieśli krwawą klęskę próbując przełamać żelazny uścisk buntowników z Sierry obejmujący dolinę San Joaquin; po tym wszystkim Danielis został podpułkownikiem. Armii nakazano marsz na północ, więc poruszała się ostrożnie pod nadmorskimi łańcuchami wzgórz, na wpół oczekując ataku ze wschodu. Jednak wyglądało na to, że zwolennicy Brodsky'ego umacniają się na ostatnio zdobytych terenach. Kłopot sprawiali jedynie partyzanci i opór dowodzonych przez szefów stacji. Po jednym szczególnie przykrym starciu wojsko lojalistów zatrzymało się w pobliżu Pinnacles na krótki odpoczynek.

Danielis szedł przez obozowisko, w którym namioty stały w ciasnych szeregach między działami, zaś ludzie rozłożyli się dookoła drzemiąc, rozmawiając, grając, gapiąc się w czyste, błękitne niebo. Powietrze było gorące, przesiąknięte dymem ogniska, zapachem koni, mułów, gnoju, potu, oliwy do natłuszczania butów; pokrywająca wzgórza zieleń, falująca ze wszystkich stron obozu, zaczęła już przechodzić w letnią brązowość. Danielis nie miał nic do roboty do czasu konferencji zwołanej przez generała, ale niepokój nie dawał mu spocząć. Zostałem już ojcem, pomyślał, a nie widziałem jeszcze mego dziecka.

Nie można jednak powiedzieć, żebym nie miał szczęścia, upomniał siebie samego. Zachowałem życie i zdrowie. Przypomniawszy sobie, jak Jacobsen umierał w jego ramionach pod Maricopą. Nikt by nie pomyślał, że ciało człowieka pomieści w sobie tyle krwi. Choć może przestaje się być człowiekiem, gdy ból jest tak wielki, że nie można nic zrobić, tylko wrzeszczeć, póki nie nadejdzie ostateczna ciemność.

A mnie się wydawało, że wojna jest wspaniała. Głód, pragnienie, wyczerpanie, strach, okaleczenia, śmierć i cały czas ta monotonia, nuda zmieniająca cię w wołu... Przeszedłem i przez to. Po wojnie zajmę się interesami. Integracja gospodarcza, gdy rozpadnie się system szefostw; o, tak, będzie wiele dróg, którymi człowiek pójdzie naprzód, ale uczciwie, bez broni w rękę – Danielis złapał się na tym, że powtarza myśli, które chodziły mu po głowie już wiele miesięcy temu. Ale o czym jeszcze mógł myśleć, do cholery?

Nie opodal stał wielki namiot, w którym przesłuchiwano jeńców. Dwóch szeregowych wprowadzało właśnie do środka jakiegoś mężczyznę. Człowiek ten miał jasne włosy, był silnie zbudowany i ponury. Na rękawie miał naszywki sierżanta, ale poza nimi za cały mundur służyła mu jedynie odznaka Strażnika Echevarry'ego, szefa w tej części nadmorskich wzgórz. W czasach pokojowych człowiek ten był drwalem, Danielis odgadł to z jego wyglądu; kiedy zaś interesy Echevarry'ego były zagrożone, drwał stawał się żołnierzem w prywatnej armii szefa. Został schwytany podczas wczorajszego starcia.

Powodowany impulsem Danielis podążył za eskortą. Wszedł do namiotu właśnie w chwili, gdy kapitan Lambert, puciołowaty oficer siedzący za przenośnym biurkiem, skończył pytania wstępne i zamrugał oczyma z powodu chwilowej ciemności.

– Ach, to pan. – Lambert zaczął wstawać. – Słucham pana? – Spocznij – rzekł Danielis. – Chciałem tylko posłuchać.

– No, to załatwimy panu niezłe widowisko. – Lambert ponownie się usadowił i spojrzał na jeńca, który stał między konwojentami, z opuszczonymi ramionami i na rozstawionych szeroko nogach.

– A teraz, sierżancie, powie nam pan kilka rzeczy.

– Nie muszę niczego mówić, poza nazwiskiem, stopniem i miastem, z którego pochodzę – burknął mężczyzna. – To już zostało zapisane.

– Mmmm... nie jestem taki pewien, czy pan nie musi. Nie jest pan żołnierzem obcej narodowości, ale buntownikiem przeciwko rządowi własnego kraju.

– Nieprawda! Jestem żołnierzem Echevarry'ego. – No to co?

– To, że dla mnie sędzią jest ten, kogo wskaże Echevarry. A on mówi: Brodsky. Czyli że to pan jest buntownikiem.

– Prawo się zmieniło.

– Wasz zasrany Fallon nie ma prawa nic zmieniać. Zwłaszcza konstytucji. Nie jestem zwykłym pastuchem, kapitanie. Trochę chodziłem do szkół. A nasz strażnik co roku czyta swym ludziom konstytucję.

– Czasy się zmieniły od tamtej pory, kiedy ją sformułowano – rzekł Lambert.

Ton jego głosu się zaostrzył. – Ale nie będę się tu z tobą przekomarzał. Ilu twoja kompania liczy sobie strzelców i łuczników?

Cisza. – Możemy ci to znacznie ułatwić – powiedział Lambert. – Nie namawiam cię do jakiegokolwiek zdrady. Potwierdzisz mi tylko pewne informacje, które i tak mam. Mężczyzna gniewnie potrząsnął głową.

Lambert skinął ręką. Jeden z szeregowców stanął za jeńcem, wziął go za ramię i lekko wykręcił.

– Echevarry by mi tego nie zrobił – wycedził jeniec przez pobielające wargi. – Oczywiście, że nie – odrzekł Lambert. – Jesteś jego żołnierzem.

– A co, miałbym być tylko numerkiem na jakiejś liście we Frisco? No jasne, że jestem jego żołnierzem!

Lambert skinął znowu. Strażnik mocniej wykręcił ramię jeńcowi. – Wstrzymajcie się! – warknął

Danielis. – Natychmiast przestać. Szeregowiec puścił jeńca; twarz jego wyrażała zdziwienie. Mężczyzna odetchnął głęboko, prawie z jękiem.

– Dziwię się panu, kapitanie Lambert – rzekł Danielis. Czuł, jak twarz mu czerwienieje. – Jeśli tak pan zwykle postępuje, to czeka pana sąd wojenny.

– Nie, panie pułkowniku – odrzekł Lambert cicho. – Słowo honoru. Tylko że... oni nie chcą mówić. Prawie żaden. Co ja mam robić?

– Postępować zgodnie z prawem wojennym. – Z buntownikami?

Odprowadzić jeńca – polecił Danielis. Strażnicy pośpiesznie zastosowali się do rozkazu.

– Przepraszam, panie pułkowniku – mruknął Lambert. – To dlatego... chyba dlatego, że straciłem tylu kumpli w tej wojnie. A nie chciałbym stracić więcej tylko z powodu niedostatecznych informacji.

– Ja też nie. – W Danielisie odezwało się współczucie. Usiadł na skraju stołu i zaczął skręcać papierosa. – Ale widzi pan, to nie jest zwykła wojna. I dlatego, w wyniku osobliwego paradoksu, musimy ściślej niż kiedykolwiek przedtem przestrzegać konwencji.

– Niezupełnie rozumiem, panie pułkowniku.

Danielis skończył skręcać papierosa i podał go Lambertowi: gałązka oliwna czy coś w tym rodzaju. Zaczął robić następnego dla siebie. – Buntownicy nie są we własnych oczach buntownikami – odrzekł. – Są lojalni wobec tradycji, którą my próbujemy przełamać, a w końcu zniszczyć. Spójrzmy prawdzie w oczy: przeciętny szef to zupełnie dobry przywódca. Może i jest potomkiem jakiegoś opryszka, który silną ręką zdobył władzę jeszcze podczas chaosu, ale obecnie jego rodzina zintegrowała się z regionem, którym on rządzi. Zna go na wylot, podobnie jak zamieszkujących go ludzi. Jest tu we własnej osobie symbolem społeczności i jej osiągnięć, obyczajów i niezależności. Jeśli masz kłopoty, nie przebijas się przez mur bezosobowej biurokracji, tylko idziesz prosto do szefa. Jego obowiązki są równie jasno określone jak twoje własne, a odpowiedzialność o wiele większa, równoważąca jego przywileje. Prowadzi cię do boju oraz przewodzi w obrzędach, które nadają życiu barwę i znaczenie. Twój i jego przodkowie pracowali i bawili się razem przez dwieście czy trzysta lat. Ziemia żyje wspomnieniami o nich. Ty i on należycie tu.

No więc trzeba to odrzucić, aby można było wznieść się na wyższy poziom. Ale nie osiągniemy tego poziomu zrażając sobie wszystkich. Nie jesteśmy armią zdobywców; nasza rola jest podobna do roli gwardii pałacowej uśmierzającej rozruchy w jakimś mieście. Opozycja jest integralną częścią naszego własnego społeczeństwa. Lambert zapalił mu zapałkę. Danielis zaciągnął się i mówił dalej:

– Biorąc zaś pod uwagę aspekt praktyczny, mógłbym panu również przypomnieć, kapitanie, że federalne siły zbrojne, zarówno wierne Fallonowi, jak i Brodsky'emu, nie są zbyt liczne. Właściwie sama kadra. Jesteśmy zbieraniną młodszych synów rodzin, rolników, którym się nie powiodło, ubogich mieszczan, poszukiwaczy przygód, ludzi, którzy szukają w swoim pułku poczucia spełnienia, którego oczekiwali od dzieciństwa, a w życiu cywilnym go nie zaznali.

– Mówi pan zbyt mądrze jak dla mnie – rzekł Lambert.

– Nieważne – westchnął Danielis. – Proszę tylko mieć na uwadze, że znaczna większość biorących udział w walce znajduje się poza przeciwnymi sobie armiami, a nie w nich. Gdyby szefom udało się ustanowić wspólne dowództwo, byłby to koniec rządów Fallona. Na szczęście duże znaczenie odgrywa tu duma lokalna i wielkie odległości, nie dojdzie więc do tego... chyba, że

rozniewamy ich tak, że nie będą mogli tego dłużej znosić. My zaś chcemy, aby zwykły wolny rolnik, a nawet zwykły szef pomyślał tak: Ci popierający Fallona nie są jeszcze tacy źli. Jak się będę ich trzymał, nie stracę zbyt wiele, a mogę jeszcze zyskać kosztem ich wrogów. Rozumie pan?

– T-tak. Myślę, że tak.

– Pan nie jest głupi, Lambert. Nie musi pan zmuszać jeńców biciem do mówienia. Niech pan użyje podstępów.

– Spróbuję, panie pułkowniku.

– Dobrze. – Danielis spojrział na zegarek, który zgodnie z tradycją otrzymał razem z bronią boczną podczas promocji. (Dla zwykłych ludzi zegarki były o wiele za drogie. W epoce produkcji masowej tak nie było; a może i w nadchodzącej epoce...) – Muszę już iść. Do zobaczenia.

Wyszedł z namiotu w trochę lepszym nastroju niż poprzednio. Nie ma wątpliwości, że jestem domorosłym kaznodzieją, przyznał przed samym sobą. Nigdy mi zbyt nie odpowiadały głupie żarty przy jedzeniu, z których wielu zresztą w ogóle nie rozumiałem... ale jeśli mogę podsunąć kilka myśli tam, gdzie znajdują podatny grunt, to wystarczająca dla mnie przyjemność.

Doleciały go dźwięki muzyki, jakieś banjo i kilka męskich głosów, i złapał się na tym, że pogwizduje. Dobrze, że pozostało choć tyle z morale po Maricopie i marszu na północ, którego celu nie zdradzono przed nikim.

Namiet konferencyjny był na tyle obszerny, że zwano go pawilonem. U wejścia stało dwóch strażników. Danielis był jednym z ostatnich, którzy przyszli, i znalazł się na końcu stołu, naprzeciwko generała Pereza. Powietrze zasnuwał dym i słychać było stłumione szmeru rozmów, ale twarze wszystkich były napięte.

Kiedy u wejścia pojawiła się odziana na błękitno postać z symbolem Jang i Jin na piersiach, cisza zapadła jak zasłona. Danielis ze zdumieniem rozpoznał w przybyłym Filozofa Woodwortha. Ostatnio widział go w Los Angeles i sądził, że Esper pozostanie w miejscowym ośrodku. Pewnie dostał się tu jakimś specjalnym środkiem transportu, skierowany specjalnymi rozkazami...

Perez przedstawił przybyłego. Obaj stali nadal, pod obstrzałem spojrzeń oficerów. — Mam dla panów ważne informacje – rzekł bardzo cicho Perez. – Mogą panowie poczytywać sobie za zaszczyt, że zostaliście tu zaproszeni. Oznacza to, że moim zdaniem można panom zaufać, że, po pierwsze, zachowacie całkowite milczenie co do tego, co za chwilę usłyszycie, a po drugie przeprowadzicie ważną operację o wysokim stopniu trudności. – Danielis ze wstrząsem uświadomił sobie, że wśród obecnych nie ma kilku oficerów, których ranga wskazywałaby, że powinni tu być.

– Powtarzam – mówił Perez – jakiegokolwiek naruszenie tajności zniweczy cały plan. W takim wypadku wojna będzie się jeszcze ciągnąć przez wiele miesięcy czy lat. Wiece, panowie, w jak złej sytuacji się znajdujemy., Wiece również, że będzie się ona pogarszać w miarę zużywania zapasów, których uzupełnienie uniemożliwia nam wróg. Możemy nawet zostać pokonani. Mówiąc to nie jestem defetystą, tylko realistą. Możemy przegrać tę wojnę.

Z drugiej strony, jeśli ten nowy plan wypali, możemy złamać kark wrogowi jeszcze w tym miesiącu.

Zamilkł na chwilę, by jego słowa zapadły w myśli słuchaczy.

– Plan ten – mówił po chwili dalej – został opracowany kilka tygodni temu przez Sztab

Generalny przy współpracy Centrali Esperów w San Francisco... – Odczekał, aż ucichną okrzyki zdumienia, które przeszły duszne powietrze. – Tak, wiecie, panowie, że Bractwo Esperów nie bierze udziału w sporach politycznych. Wiecie jednak również, że broni się, kiedy zostanie zaatakowane. I wiecie też zapewne, że buntownicy dokonali takiego ataku: Zdobyli osadę w dolinie Napa i od tej pory rozpuszczają złośliwe pogłoski na temat Bractwa. Czy chciałby pan coś powiedzieć na ten temat, Filozofie Woodworth'?

Człowiek w niebieskich szatach skinął głową.

– Mamy własne sposoby – odezwał się chłodno – dowiadywania się o różnych sprawach... taki nasz, można powiedzieć, wywiad. Mogę więc podać wam informację o tym, co się naprawdę stało. St. Helena została zaatakowana, kiedy adepci w większości ją opuścili pomagając w zakładaniu nowej osady w Montanie. – Jak się tak szybko tam przenieśli, zastanawiał się Danielis. Drogą teleportacji czy co? – Nie potrafię stwierdzić, czy wróg wiedział o tym, czy też po prostu miał szczęście. W każdym razie kiedy dwaj czy trzej pozostali w osadzie adepci wyszli buntownikom naprzeciw, wybuchła walka i zabito ich, nim zdolali coś przedsięwziąć. – Esper uśmiechnął się. – Nie twierdzimy, że jesteśmy nieśmiertelni, chyba że w takim sensie, w jakim każda żywa istota jest nieśmiertelna. Nie jesteśmy też nieomylni. Tak więc obecnie St. Helena jest pod okupacją. Nie planujemy żadnego bezpośredniego działania przeciwko okupantom, ponieważ ucierpieć mogłaby na tym ludność osady.

A co do tych bajek rozgłaszanych przez dowództwo wroga, to ja bym chyba tak samo zrobił, gdyby mi się trafiła podobna okazja. Każdy wie, że adept potrafi takie rzeczy, do jakich nikt poza nim nie jest zdolny. Żołnierze, którzy zrozumieli, że skrzywdzili Bractwo, będą się teraz obawiać nadprzyrodzonej zemsty. Wy tu jesteście ludźmi wykształconymi i wiecie, że nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, że jest to tylko sposób używania sił, jakie drzemią w nas wszystkich bez mała. Wiecie również, że Bractwo nie uznaje zemsty. Ale zwykły piechur nie myśli tak jak wy. Jego oficerowie muszą jakoś dodać mu ducha. Toteż sklecieli lipne urzędnika i powiedzieli mu, że adepci tego właśnie używają: rozwiniętej techniki, oczywiście, ale tylko maszyn, które można zniszczyć, jeśli ma się odwagę, podobnie jak wszystkie inne maszyny. To się właśnie stało.

Jednak jest to zagrożenie dla Bractwa, a poza tym nie możemy pozwolić, aby atak na naszych ludzi nie spotkał się z karą. Toteż Centrala Esperów postanowiła udzielić waszej stronie pomocy. Im prędzej skończy się ta wojna, tym lepiej dla wszystkich.

Ponad stołem przeleciał odgłos westchnienia; zerwało się kilka radosnych przekleństw. Danielis poczuł, jak włosy mu się unoszą na karku. Generał Perez dał znak dłonią.

– Nie za szybko, proszę – powiedział. – Nie będzie tak, że adepci rozejdą się, by zabijać za was wrogów. Dla nich była to i tak cholernie trudna decyzja, by pomóc nam tyle, ile postanowili. Ja, hm, zdaję sobie sprawę, że, hm, osobisty rozwój każdego Espera dozna regresu o wiele lat z powodu tak wielkiej przemocy. Ich ofiara jest ogromna.

Zgodnie ze swym statutem mogą używać psychotroniki w celu obrony przed atakiem. Dobrze więc... atak na San Francisco zostanie uznany za atak na Centralę, ich światowe kierownictwo.

Uświadomienie sobie tego, co miało nastąpić, oślepiło Danielisa. Ledwie słyszał wypowiedziane suchym głosem dalsze słowa Pereza:

– Zajmijmy się przeglądem sytuacji strategicznej. Obecnie wróg kontroluje ponad połowę Kalifornii, cały Oregon i Idaho oraz znaczną część stanu Waszyngton. My, nasza armia, dochodzimy

do San Francisco ostatnią drogą lądową, jaka nam pozostała. Wróg nie próbował jej jeszcze przeciąć, ponieważ oddziały ściągnięte z północy – te, które w chwili obecnej nie są w boju – tworzą silny garnizon miejski, który potrafiłby się przebić. Wróg zbiera zbyt wiele łupów w innych miastach, by tu wdać się w ryzykowne starcie.

Nie może też liczyć na to, że oblegając miasto weźmie je głodem. Wciąż mamy Puget Sound i port południowej Kalifornii. Nasze statki dowożą wystarczająco dużo żywności i amunicji. Jego własne siły morskie ustępują naszym: składają się głównie ze szkunerów ofiarowanych przez szefów osad nadbrzeżnych. Ich bazą wypadową jest Portland. Może potrafiłby czasem zniszczyć jakiś konwój, ale nie robi tego, bo mu się to nie opłaca; nadpłyną inne konwoje, pod silniejszą eskortą. I, oczywiście, nie może przedostać się do Zatoki, skoro obu stron Golden Gate bronią stanowiska artylerii i rakiet. Nie, jedyne, na co się może zdobyć, to utrzymywanie niewielkiej komunikacji wodnej z Hawajami i Alaską.

Mimo to jednak ostatecznym celem wroga jest San Francisco. Musi być – jest to wszak siedziba rządu i przemysłu, serce kraju. Oto więc nasz plan. Nasza armia znów zwiąże w walce dowództwo Sierry i wspomagające ją oddziały ochotnicze, uderzając od strony San Jose. To całkowicie logiczny manewr. Jeśli się powiedzie, rozdzieli siły wroga w Kalifornii na dwie części. Mówiąc prawdę, wiemy, że już koncentruje swe wojska oczekując właśnie takiego posunięcia.

Nie odniesiemy sukcesu. Stoczymy z wrogiem twardy bój i zostaniemy odparci. To najtrudniejsza część planu: symulowanie poważnej porażki, które przekonałoby nawet naszych własnych żołnierzy, a jednocześnie zachowanie porządku. Tu mamy wiele szczegółów do dopracowania.

Wycofamy się na północ, wzdłuż półwyspu, w kierunku Frisco. Wróg z pewnością będzie nas ścigał. Uzna to za zesłaną przez niebiosa okazję zniszczenia nas i podejścia pod mury miasta.

Kiedy już znajdzie się głęboko wewnątrz półwyspu, mając po lewej stronie ocean, zaś po prawej zatokę, okrążymy go i zaatakujemy z tyłu. Będą tam adeptci, którzy nam pomogą. Wróg znajdzie się w pułapce między nami i obroną cywilną miasta. Czego nie uda się zniszczyć Esperom, tym zajmiemy się my. Z dowództwa Sierry pozostanie zaledwie kilka garnizonów. Reszta wojny będzie tylko operacją oczyszczającą.

To znakomite dzieło strategii. I jak wszystkie jemu podobne, cholernie trudne do przeprowadzenia. Jesteście gotowi, by to zrobić?

Danielis nie wznosił okrzyku wraz z innymi. Zbyt usilnie myślał o Laurze.

Walki trwały na północy i na prawej flance. Co jakiś czas odzywały się działa albo stukot karabinów; dym wystrzałów słał się cienką warstwą na trawie i na pokręconych przez wiatr dębach, które porastały tutejsze wzgórza. Ale dalej, wzdłuż wybrzeża, był tylko przybój, wiatr, świst piasku na wydmach.

Mackenzie jechał plażą, gdzie koń stąpał najłatwiej, a i widok był najlepszy. Większość jego pułku znajdowała się w głębi lądu. Tutaj jednak ląd to było pustkowie: zryta ziemia, lasy, szczątki starożytnych domów sprawiały, że jechało się powoli i z trudem. Kiedyś mieszkało tu wiele ludzi, ale burza ogniowa po Bombie wyludniła te tereny, a ci nieliczni, którzy tu pozostali, nie mogli dać sobie rady z jałową ziemią. Nawet nie było widać żadnych wrogich żołnierzy w pobliżu tego lewego skrzydła armii.

Ale nie dlatego przydzielono je Włóczykijom. Mogli wziąć na siebie ciężar natarcia środkiem równie dobrze jak te oddziały, które tam właśnie były, gnając wroga przed sobą w kierunku San Francisco. Włóczykije nieraz wachali proch w tej wojnie, kiedy działali z bazy W Calistodze pomagając wygonić zwolenników Fallona z północnej Kalifornii. Tak doskonale im się to udało, że teraz wystarczyło pozostawić tam niewielki garnizon. Prawie całe dowództwo Sierry zebrało się w Modesto i wyszło na spotkanie posuwającej się na północ armii przeciwnika, która uderzyła na nich z San Jose zmuszając do ucieczki. Jeszcze dzień czy dwa i białe miasto powinno się ukazać ich oczom.

A tam przeciwnik z pewnością stawi silny opór, pomyślał Mackenzie, mając wsparcie w garnizonie miejskim. I trzeba będzie ostrzeliwać jego pozycje, a może nawet brać to miasto ulica po ulicy. Lauro, dziecko, czy zastanę cię żywą, gdy się to skończy?

Oczywiście, może wcale tak nie będzie. Może mój plan się powiedzie i łatwo wygramy... Cóż to za straszne słowo – „może”! Zwarł dłonie z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu.

Speyer rzucił mu spojrzenie. Rodzina majora była bezpieczna; udało mu się nawet odwiedzić ją w Mount Lassen po zakończeniu kampanii północnej.

– Ciężko – powiedział.

– Każdemu ciężko – odrzekł Mackenzie gniewnie. – To brudna wojna. Speyer wzruszył ramionami.

– Nie różni się od innych, chyba tylko tym, że nasi obywatele są zarówno wśród zwycięzców jak i pokonanych.

– Dobrze wiesz, że nigdy i nigdzie nie lubiłem tej roboty. – A który człowiek przy zdrowych zmysłach lubi?

– Kiedy będę miał ochotę na kazanie, to cię poproszę. – Przepraszam – powiedział Speyer szczerze.

– Ja też przepraszam – rzekł pułkownik, nagle pełen skruchy. -- Nerwy wysiadają. Cholera jasna! Niemal chce mi się jakiejś akcji.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby ci się to życzenie spełniło. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

Mackenzie rozejrzał się naokoło. Z prawej strony na horyzoncie widać było pagórki, za którymi wznosiły się niskie, lecz masywne góry San Bruno. Tu i tam dostrzegał własnego żołnierza, pieszo lub na koniu. Nad jego głową krztusił się warkotem samolot. W razie czego jednak było tu wiele miejsca, by utworzyć stanowisko obronne. Piekiło mogło rozpętać się w każdej chwili... choć z konieczności piekiło o ograniczonym zakresie, które można było szybko stłumić ostrzałem artyleryjskim czy atakiem na bagnety przy niewielkich stratach własnych (Ha! Owe „niewielkie straty własne” oznaczały śmierć ludzi, których będą opłakiwać kobiety i dzieci, czy też kalekę spoglądającego na kikut ręki albo innego, który postradał twarz i oczy w wybuchu... a w ogóle, cóż to za myśli nie przystojące żołnierzowi?).

Szukając spokoju ducha Mackenzie spojrział na lewo. Ocean falował szarością i zielenią, połyskiwał daleko w głąb, bliżej brzegu unosząc się i opadając w huku białych grzywaczy. Pułkownik czuł zapach soli i wodorostów: Nad lśniącymi oślepiająco piaskami przelatywały z krzykiem mewy. Na morzu ani śladu żagla czy dymu – jedynie pustka. Konwoje z Puget Sound do San

Francisco i smukłe, śmigłe statki szefów przybrzeżnych kryły się o wiele mil stąd, za krzywizną kuli ziemskiej.

I tak powinno być. Może wszystko szło dobrze na głębokim oceanie. Można było tylko próbować i wierzyć w powodzenie. I.. wszak była to jego sugestia, Jamesa Mackenzie, który przemawiał na konferencji zwołanej przez generała Cruikshanka między bitwami pod Mariposą i San Jose; tego samego Jamesa Mackenzie, który najpierw zaproponował, aby dowództwo Sierry zeszło z gór, a następnie obnażył gigantyczne łgarstwo Esperów i z powodzeniem wyciszył krążące wśród jego ludzi informacje, że za tym łgarstwem kryła się tajemnica, o której mało kto odważył się nawet myśleć. O tym pułkowniku wspominać będą kroniki i ballady przez pół tysiąca lat.

Tylko że Mackenzie nie odczuwał tego w ten sposób. Wiedział, że nawet w najlepszych warunkach można go było uznać tylko za przeciętnie bystrego, a teraz umysł miał otępiały od zmęczenia i przejęty troską o los córki. Zaś co do swoich spraw, bał się rany, która mogłaby uczynić go kaleką. Często zasypiał dopiero po paru kieliszkach. Zawsze był ogolony, bo oficer musi zachowywać pozory, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że gdyby nie robił tego za niego ordynans, to wkrótce zarósłby jak pierwszy lepszy szeregowiec. Jego mundur spłowił i był pocerowany, ciało swędziało go i cuchnęło, usta domagały się tytoniu, ale w zaopatrzeniu były jakieś kłopoty i mieli szczęście, że w ogóle dostali coś do jedzenia. Osiągnięcia, które mógł sobie zaliczyć, ograniczały się do partaniny wykonywanej w najgorszym bałaganie lub też do takiej jak obecnie młócki i wypowiedanych w duchu próśb, aby się to nareszcie skończyło. Pewnego dnia, czy będzie on zwycięski, czy też nie, jego ciało go zawiedzie: już czuł, jak cała maszyna rozpada się na kawałki, miał bóle artretyczne, zadyszkę, zdarzało mu się zapadać w drzemkę w biały dzień – a sam zgon będzie równie samotny i niegodny, jak śmierć każdego innego odłamka masy ludzkiej. Bohater? Cóż za pośmiewisko po wsze czasy!

Zwrócił myśli ku sprawom aktualnym. Z tyłu, obok artylerii, szły po plaży siły główne pułku – tysiąc żołnierzy z działami samojezdnymi, jaszczami, wozami zaprzężonymi w muły, z kilkoma ciężarówkami i jedynym cennym transporterem opancerzonym. Była to jedna brunatna masa u góry przetykana hełmami, idąca w szyku dowolnym, z bronią w rękach. Piasek tłumił odgłos ich kroków, tak że dało się słyszeć jedynie przybój i wiatr. Kiedy jednak wiatr cichł, Mackenzie chwycił dźwięki melodii oddziału czarowników – kilkunastu wysuszonych starców, głównie Indian, którzy nieśli różdżki czarodziejskie i wygwizdywali Pieśń Przeciwno Czarownicom. Mackenzie sam nie parał się czarami, ale kiedy ten dźwięk docierał do jego uszu, czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

Wszystko jest w najlepszym porządku, zapewniał sam siebie. Idzie nam znakomicie.

Potem zaś: ale Phil ma rację. Tu coś nie gra. Wróg powinien wycofywać się w walce do południowych linii oporu, a nie dać się tak zamknąć.

Nadjechał galopem kapitan Hulse. Gdy zatrzymał konia, spod kopyt trysnął piach.

– Wrócił patrol, panie majorze.

– No? – Mackenzie zdał sobie sprawę, że nieomal krzyknął. – Proszę mówić. – Około pięciu mil stąd na południowy wschód zaobserwowano znaczną aktywność wroga. Wygląda na to, że jakiś oddział posuwa się w naszym kierunku.

Mackenzie zeszywniał.

– Nie ma jakichś dokładniejszych informacji?

– Jeszcze nie; teren jest trudny.

– Wyślijcie samolot na rozpoznanie, na Boga!

– Tak jest, panie pułkowniku. Wyślę też więcej zwiadowców.

– Zastąp mnie tu, Phil. – Mackenzie ruszył w stronę ciężarówki z radiostacją. Miał oczywiście w jukach minikomunikator, ale San Francisco nieustannie zagłuszało wszystkie zakresy i potrzebny był silny nadajnik, by wysłać sygnał choćby na parę kilometrów. Patrole musiały utrzymywać łączność poprzez posłańców.

Zwrócił uwagę, że strzelanina wewnątrz łądu ucichła nieco. W głębi Półwyspu znajdowały się porządne drogi dalej na północy, gdzie nastąpiło pewne ponowne zasiedlenie tych terenów. Wróg, który nadal zajmował tamte tereny, mógł skorzystać z tych dróg do szybkiego przemieszczania swych sił.

Jeśli wycofają się w środku i zaatakują nas na flankach, gdzie jesteśmy najslabsi... Jakiś głos w sztabie głównym, ledwie słyszalny poprzez piski i brzęczenie, przyjął jego raport i poinformował o tym, co zaobserwowano w innych miejscach. Znaczne ruchy wojsk na prawo i lewo, owszem, wyglądało na to, że wojska Fallona chcą się przedrzeć. Może też być to manewr dla odwrócenia uwagi. Główne siły Sierry muszą pozostać na miejscu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Włóczykije muszą przez jakiś czas sami się utrzymać na swych pozycjach.

– Zrozumiałem. – Mackenzie powrócił na czoło swej kolumny. Speyer ponurym skinieniem głowy skwitował wieści.

– Lepiej się przygotujmy, nie?

– Mhm. – Mackenzie zgubił się w powodzi własnych komend, gdy oficerowie podjeżdżali do niego, jeden po drugim. Należało wycofać wysunięte pododdziały. Należało bronić plaży wraz z sąsiadującymi z nią bezpośrednio wyższymi terenami.

Ludzie rozbiegli się, konie rżały, działa dudniły. Powrócił samolot rozpoznawczy; leciał tak nisko, by można było przekazać przez radio meldunek: tak jest, bez wątpienia rozwija się natarcie wroga; z powodu tej cholernej osłony drzew i mnóstwa rozpadlin trudno określić liczebność atakujących, ale może być nawet i brygada.

Mackenzie, w otoczeniu swego sztabu i łączników, zajął stanowisko na szczycie wzgórza. Przed nim, w poprzek plaży, rozciągały się linie artylerii. Za działami czekała konnica z błyszczącymi lancami, mając wsparcie w kompanii piechoty. Poza nią piechurzy wtopili się w krajobraz. Morze grzmiało własną kanonadą, a mewy zaczęły się gromadzić, jakby domyślały się, że niedługo będzie żer.

– Myślisz, że ich zatrzymamy? – spytał Speyer.

– Oczywiście – odrzekł Mackenzie. – Jeśli nadejdą plażą, ostrzelamy ich z flank, podobnie zresztą jak i od frontu. Gdyby nadeszli od wzgórz, to mamy tu typowy przykład terenu nadającego się do obrony. Oczywiście jeśli jakiś inny oddział przedrze się przez nasze linie dalej w głębi łądu, zostaniemy odcięci, ale to na razie nie nasze zmartwienie.

– Chcą chyba obejść nasze wojska i zaatakować z tyłu.

– Chyba tak. Nie za sprytne to jednak. Możemy dojść do Frisco równie łatwo walcząc z wrogiem od tyłu, jak i od przodu.

– Chyba że garnizon wysłał wojsko na zewnątrz miasta.

– Nawet wtedy. Ogólna liczba żołnierzy jest mniej więcej taka sama, ale my mamy więcej amunicji i... Oraz dużo wspomagających nas żołnierzy szefów, którzy są przyzwyczajeni do nieregularnej wojny na terenach górzystych.

– Jeśli damy im w skórę... – Speyer zacisnął wargi. – Mów dalej – rzekł Mackenzie.

– Nic takiego.

– Gówno prawda. Chciałeś przypomnieć mi o następnym kroku: jak weźmiemy miasto, unikając wysokich strat po obu stronach? No więc przypadkiem wiem, że mamy ukrytego asa, który może pomóc, jeśli go zgramy.

Speyer odwrócił pełen współczucia wzrok od pułkownika. Na szczycie wzgórza zapanowały cisza.

Minęło nieprawdopodobnie wiele czasu, nim pojawili się żołnierze wroga: najpierw kilku szperaczy na stokach wydm, potem zaś główne siły wylewające się z rozpadlin, zza krawędzi wzgórz i z lasów. Obok pułkownika przelatywały meldunki: silne zgrupowanie, prawie dwukrotnie liczniejsze od naszego, ale z nieliczną artylerią; ponieważ w chwili obecnej odczuwają ogromny brak paliwa, muszą znacznie częściej niż my korzystać z siły pociągowej zwierząt. Wyraźnie zmierzali do szarzy, by poświęcając wielu żołnierzy doprowadzić szable i bagnety między działa Włoczykiów. Mackenzie wydał odpowiednie rozkazy.

Wrogie wojska uformowały szyk w odległości jakichś dwóch kilometrów. Mackenzie rozpoznał je przez lornetkę: czerwone chusty Madera Horse, zielono-złote proporce Dagów, powiewające w przesyconym jodem wietrze. W przeszłości walczył z obydwojema oddziałami ramię w ramię. Zdradą wydało mu się pamiętanie. i wykorzystanie faktu, że Ives uwielbiał szyk w kształcie stępionego klina... W słońcu błyszczał złowrogo jeden transporter opancerzony wroga i kilka lekkich dział polowych zaprzężonych w konie.

Rozległ się ostry głos trąbek. Kawaleria Fallona złożyła lance w pozycji na spocznij i ruszyła truchtem. Nabierali szybkości do kłusa, galopu, aż ziemia drżała pod kopytami. Potem ruszyła piechota osłaniana z boków przez działa. Transporter jechał między pierwszą i drugą linią piechurów. Dziwacznie wyglądał bez wyrzutni raketowej na szczycie i karabinów maszynowych wysuniętych przez otwory strzelnicze. Dobrzy żołnierze, pomyślał Mackenzie. Idą w szyku zwartym, rytmicznym, który wskazywał, że nie są to nowicjusze. Zgroza go przejęła na myśl o tym, co ma nastąpić.

Jego obrona czekała nieruchomo na piasku. Strzały padły ze wzgórz, gdzie przycupnęli strzelcy i obsługa moździerzy. Upadł jeden z jeźdźców; jakiś piechur złapał się za brzuch i opadł na kolana, ale zaraz ich towarzysze przesunęli się naprzód ponownie zwierając szyk. Mackenzie obejrzał się na swe haubice. Obsługa czekała przy celownikach i spustach. Niech wróg znajdzie się w zasięgu... Już! Yamaguchi, siedzący na koniu tuż za artylerzystami, dobył szabli i skierował ostrze ku ziemi. Ryknęły działa. Ogień trysnął poprzez dym, wzniosły się tumany piasku, odłamki siekły po nacierających. Działonowi od razu wpadli w rytm ładowania, celowania, strzału stale trzy razy na minutę, kiedy to i lufy się nie niszczą, i natarcie wroga się załamuje. Ryczały konie zaplątane we własne krwawe wnętrza. Niewiele jednak padło. Kawaleria Madery nie przerywała galopu. Czoło szarzy było już tak blisko, że lornetka pułkownika pokazała mu twarz jeźdźcy, czerwoną, piegowatą, twarz parobka, z którego zrobiono żołnierza. Usta miał wykrzywione w okrzyku.

Łucznicy stojący za działami obrony zwolnili cięciwy. Strzały świsnęły w niebo, salwa za salwą, zatoczyły łuk nad mewami i opadły. Płomienie i dym objęły wysuszoną trawę na stoku wzgórz, dokąd przedostały się z dębowego zagajnika. Ludzie padali na ziemię; niektórzy wciąż się obrzydliwie poruszali niczym owad, na którego ktoś nastąpił. Armatki na lewym skrzydle nieprzyjaciela zatrzymały się, przesunęły lufy i plunęły ogniem. Na próżno... ale mój Boże, ich dowódca miał odwagę! Mackenzie zobaczył, że szeregi nacierających chwieją się. Atak jego własnej piechoty i kawalerii sunący plażą powinien ich zmiażdżyć.

– Przygotować się – rzucił do minikomunikatora. Ujrzał, jak jego ludzie zamierają w napięciu. Działa ponownie rzygnęły ogniem.

Nadjeżdżający transporter zatrzymał się. Coś wewnątrz zaterkotało wystarczająco głośno, by się przebić poprzez wybuchy.

Po najbliższym wzgórzu przebiegła ściana białoniebieskiego ognia. Mackenzie zamknął oczy, na wpół oślepiony. Gdy je znowu otworzył, dostrzegł płonąca trawę poprzez błyski latające mu wściekle przed oczami. Zza zasłony wybiegł jeden z Włóczykijów, wyjąc nieludzko. Odzież na nim płonęła. Żołnierz upadł na ziemię i przetoczył się. Piasek w tym miejscu uniósł się w jednej potwornej grzebieniastej fali, wysokiej -na kilkanaście metrów, i uderzył o stok góry. Płonący żołnierz zniknął w lawinie, która pogrzebała jego towarzyszy.

– Esperzy! – rozległ się czyjś krzyk, piskliwy i straszny, przebijający się przez chaos i dudnienie ziemi. – Uderzenie psycho...

Trudno było w to uwierzyć, ale nagle rozległy się trąbki i kawaleria Sierry ruszyła do ataku. Minęła własne działa i pognąła ku uciekającemu w popłochu wrogowi... gdy nagle konie i jeźdźcy unieśli się w monstualnej niewidocznej karuzeli i z trzaskiem łamanych kości runęli znowu na ziemię. Drugi szereg kawalerzystów załamał się. Konie cofnęły się waląc przednimi kopytami w powietrze, zawróciły i pomknęły we wszystkich kierunkach.

Powietrze wypełniło straszliwe basowe brzęczenie. Mackenzie widział wszystko wokół siebie jak przez mgłę, jak gdyby mózg jego odbijał się o ściany czaszki. Po wzgórzach przebiegła kolejna ściana ognia, wyżej tym razem, żywcem paląc żołnierzy.

– Rozniosą nas – zawołał Speyer; jego słaby głos unosił się i opadał na falach powietrza. – Gdy nasi będą uciekać, oni wyrównają szyki...

– Nie! – krzyknął Mackenzie: – Adeptci muszą być w transporterze. Szybko! Większość jazdy wycofała się ku własnej artylerii; teraz była to już jedna tratująca się, jęcząca plątanina ciał. Piechota stała na miejscu, ale niewiele brakowało, by rzuciła się do ucieczki. Spojrzenie w prawo pozwoliło pułkownikowi stwierdzić, że wróg też był w rozsypce, że ostatnie wydarzenia musiały być dla niego również straszliwym zaskoczeniem, ale jak tylko pierwszy szok minie, ruszą do ataku i nic ich nie powstrzyma... Uderzył konia ostrogami, ale nie czuł tego; zupełnie tak, jakby zrobił to inny człowiek. Zwierzę walczyło, całe w pianie z przerażenia. Walnął je kilkakrotnie w łeb, brutalnie, i wbił z całej siły ostrogi. Koń pomknął w dół, ku artylerii.

Mackenzie potrzebował całej swej siły, by powstrzymać wałacha przy wylotach dział. Przy jednym z nich leżał martwy żołnierz, choć nie było na nim śladu rany. Mackenzie zeskoczył na ziemię. Koń pogalopował przed siebie.

Nie miał czasu martwić się o to. Gdzie pomoc?

– Chodźcie tu! – krzyk jego utonął w zamieszaniu. Ale nagle okazało się, że jest już ktoś obok niego: Speyer, który schwycił nabój i wsunął z trzaskiem do komory. Mackenzie wyteżył wzrok patrząc przez celownik, mierząc właściwie na wycucie. Widział transporter Esperów rozkraczony pomiędzy ciałami zabitych i rannych. Z tej odległości wydawał się tak niewielki, że nie chciało się wierzyć, iż był w stanie spalić takie połączenie ziemi.

Speyer pomógł mu załadować haubicę. Mackenzie pociągnął za spust. Działo ryknęło i podskoczyło. Pocisk eksplodował kilka metrów przed celem; trysnął piasek i zaświstały metalowe odłamki.

Speyer zdążył już załadować następną haubicę. Mackenzie wycelował i strzelił. Tym razem przeniosło, ale niewiele. Transporter zakolysał się. Wstrząs mógł poranić znajdujących się wewnątrz Esperów; w każdym razie uderzenia psychotroniczne ustały. Trzeba jednak było atakować, nim wróg zdoła się pozbierać.

Pobiegł w kierunku własnego transportera pułkowego. Drzwi były otwarte, załoga uciekła. Rzucił się na siedzenie kierowcy. Speyer zatrzaskał drzwi i wcisnął twarz w kaptur peryskopu wyrzutni raketowej. Mackenzie uruchomił silnik. Załopotał porządek na wieżyczce wozu.

Speyer ustawił wyrzutnię i nacisnął guzik spustu. Pocisk ziejąc ogniem pokonał odległość dzielącą oba transportery i eksplodował. Pojazd wroga podskoczył na kołach. W jego boku pojawiła się wyrwa.

Jeśli chłopcy zbiorą się i ruszą do natarcia... Jeśli nie, to i tak już po mnie. Mackenzie z piskiem zahamował, z trzaskiem otworzył właz i wyskoczył. Wejście do wrogiego transportera wiodło poprzez okopcone strzępy metalu. Pułkownik przecisnął się między nimi do środka, w mrok i smród.

Leżało tam dwóch Esperów. Kierowca nie żył; pierś miał przeszytą stalowym odłamkiem. Drugi z nich, adept, jęczał otoczony swymi nieludzkimi przyrządami. Nie było mu widać twarzy spod krwi. Mackenzie odsunął zwłoki kierowcy na bok i ściągnął z nich błękitną szatę. Schwycił zakrzywioną metalową rurkę i wygramolił się z wozu.

Speyer nadal siedział w nie uszkodzonym transporterze, strzelając z broni maszynowej do tych żołnierzy wroga, którzy podeszli zbyt blisko. Mackenzie skoczył na drabinkę zniszczonego wozu, wspiął się na wieżyczkę i stanął wyprostowany. Zaczął wymachiwać rękami trzymając w jednej szatę, w drugiej broń, której nie rozumiał. – Chodźcie tu, sukiny! – wołał; głos jego ginął w wyciu morskiego wiatru. – Tych już załatwiliśmy! Wy też chcecie do piekła?

Jedna jedyna kula świsnęła mu koło ucha. Nic więcej. Żołnierze wroga, piesi i konni, w większości zamarli. W tej przeogromnej ciszy nie umiał powiedzieć, czy dźwięki, które słyszy, to przybój, czy krew tętniąca mu w żyłach.

A potem zagrała trąbka, za nią inne. Rozległy się triumfalne gwizdki oddziału czarowników; zadudniły ich tam-tamy. Poszarpana linia jego własnej piechoty zbliżyła się do niego. Nadchodziły następne. Dołączyła kawaleria, jeździec za jeźdźcem, oddział za oddziałem, na skrzydłach piechoty. Z dymiących stoków wzgórz zbiegali strzelcy. Mackenzie znowu zeskoczył na piasek i wsiadł do swego transportera.

– Wracamy – powiedział do Speyera. – Mamy bitwę do zakończenia.

– Zamknij się! – warknął Tom Danielis.

Filozof Woodworth wytrzeszczył na niego oczy. Las spowijały kłęby mgły skrywając teren i rozlokowaną na nim brygadę: kłęby szarej nicości, poprzez którą przedostawały się stłumione głosy ludzkie, rżenie koni, skrzypienie kół tworzące razem dźwięk oderwany i pełen niebywałego znużenia. Powietrze było chłodne, a odzież ciążyła na skórze.

– Ależ, panie pułkowniku – zaprotestował major Lescarbault. W jego wychudłej twarzy widać było szeroko otwarte, zaszokowane oczy.

– Chodzi o to, że mam czelność powiedzieć wysokiemu Esperowi, by przestał się wymądrzać w sprawie, o której nie ma zielonego pojęcia? – odparł Danielis. – Już najwyższy czas, by ktoś to zrobił.

Woodworth odzyskał równowagę.

– Powiedziałem tylko, synu, że powinniśmy zgromadzić naszych adeptów i uderzyć na główne zgrupowanie Brodsky'ego – rzekł tonem przygany. – Co w tym złego?

Danielis zacisnął pięści.

– Nic – odrzekł – poza tym, że doprowadzi to do jeszcze gorszej klęski niż ta, którą do tej pory spowodowałeś.

– Jedna przegrana bitwa czy dwie – spierał się Lescarbault. – Rozgromili nas na zachodzie, ale tu, przy Zatoce, odepchnęliśmy ich skrzydło.

– A ostatecznym rezultatem tego był ich manewr oskrzydający, po którym zaatakowali i przecięli nasze wojska na dwie części – warknął Danielis. – Od tamtej pory Esperzy na niewiele się zdali... skoro wiadomo już, że muszą mieć transporterzy do przewozu broni i że nie są nieśmiertelni. Artyleria koncentruje ogień na transporterach Esperów albo zabijają ich partyzanci, albo też wróg po prostu omija każdy punkt, w którym się znajdują. Nie starcza nam adeptów!

– Dlatego też zaproponowałem, żeby zebrać ich w jedną grupę, zbyt silną, by jej się oprzeć – powiedział Woodworth.

– I zbyt nieruchawą, aby mogła się na coś przydać – odparł Danielis. Czuł rozgoryczenie teraz, kiedy wiedział, że Bractwo oszukiwało go przez całe życie. Tak, pomyślał, to było to prawdziwe rozczarowanie; nie fakt, że adepci nie potrafili pokonać buntowników – głównie dlatego, że nie udało im się złamać ich ducha – ale to, że adepci byli jedynie czymś narzędziem, a każda szczerą, łagodną duszą we wszystkich społecznościach Esperów była jedynie czyjąś marionetką.

Nagle wściekle zachciało mu się wrócić do Laury – nie miał dotąd okazji się z nią zobaczyć – do Laury i dziecka, ostatej ucziwej rzeczywistości, jaką ten mglisty świat mu pozostawił. Opanował się i dalej mówił z większym spokojem:

– Adepci, którzy przeżyją, przydadzą się przy obronie San Francisco. Armia mogąca poruszać się w polu potrafi ich pokonać w taki czy inny sposób, ale gdy dojdzie do ataku na mury miasta, wasza... wasza broń zdoła odeprzeć atak. Tam więc mam zamiar ich zabrać.

To pewnie najlepsze, co może zrobić. Żadne wiadomości nie docierały od północnego odłamu armii lojalistów. Z pewnością wycofali się do stolicy ponosząc po drodze ciężkie straty. Trwało zagłuszanie fal radiowych utrudniające łączność zarówno własną, jak i wroga. Musi przedsięwziąć jakąś akcję; albo też przedrzeć się do miasta. To drugie posunięcie zdawało się rozsądniejsze. Nie

był przekonany, że Laura wpłynęła na jego decyzję.

– Sam nie jestem adeptem – rzekł Woodworth. – Nie potrafię kontaktować się z nimi umysłem.

– Chcesz raczej powiedzieć, że nie masz tego, co u nich zastępuje radio – rzucił brutalnie Danielis. – Ale masz adepta wśród tych, którzy ci towarzyszą. Niech on przekaże im wiadomość.

Woodworth drgnął.

– Mam nadzieję – powiedział – mam nadzieję, że rozumiesz, iż dla mnie to też zaskoczenie.

– Och, oczywiście, Filozofie – wtrącił się Lescarbault nie proszony. Woodworth przełknął ślinę.

– Wciąż szanuję i Drogę, i Bractwo – rzekł twardo. – Nic więcej nie mogę zrobić. A kto może? Wielki Poszukiwacz obiecał pełne wyjaśnienie, kiedy to się wszystko skończy. – Potrząsnął głową. – Dobrze, synu, zrobię, co będę mógł.

Kiedy błękitna szata zniknęła we mgle, Danielis poczuł w sercu pewne współczucie. Tym ostrzej zaczął ciskać rozkazy.

Wkrótce jego oddział ruszył. Była tu II Brygada; resztę buntownicy porozrzucali po całym półwyspie. Miał nadzieję, że podobnie rozrzućeni adepci, dołączający do niego podczas marszu przez łańcuch San Bruno, doprowadzą do niego niektórych z nich. Większość jednak, która zdemoralizowana wałęsała się po okolicy, z pewnością podda się pierwszym napotkanym buntownikom.

Jechał blisko czoła, błotnistą drogą, która wiała się wśród wzgórz. Hełm ciążył mu niesamowicie. Koń pod nim potykał się, wyczerpany dniami – ile to już ich było? – marszu, wycofywania się, walki, zamieszania, skromnego wyżywienia lub wręcz głodu, gorąca, zimna i strachu na pustej ziemi. Biedne zwierzę; postara się zadbać o nie, gdy dotrą do miasta. Zadba i o te wszystkie inne biedne zwierzęta idące za nim, po wędrowce, walce i znów wędrowce, aż oczy zachodziły im mgłą od zmęczenia.

W San Francisco będzie dość czasu na odpoczynek. Tam jesteśmy niezwyciężeni dzięki murom i armatom oraz maszynom Esperów, które zasłonią nas od lądu, od tyłu zaś będzie morze, które nas żywi. Możemy odzyskać siły, przegrupować oddziały, sprowadzić wodą posiłki z północy i z południa. Los wojny nie jest jeszcze przesądzony... w Bogu nadzieja.

Czy w ogóle będzie kiedyś przesądzony

Czy Jimbo Mackenzie przyjdzie do nas jak zwyciężymy, usiądzie przy ognisku, żebyśmy sobie poopowiadali, co robiliśmy? Albo o czymś innym, o czymkolwiek? Jeśli nie, będzie to zbyt wysoka cena za to zwycięstwo.

Może jednak nie zbyt wysoka cena za tę naukę. Obcy na naszej planecie... ktoś inny mógłby zbudować taką broń? Adepci będą mówić, nawet gdybym osobiście musiał ich w tym celu torturować.

Danielis przypomniał sobie jednak opowieści szeptane w chatach rybaków, gdy był mały – po zmroku, kiedy myśli starszych ludzi kręciły się wokół duchów. Przed wojną opowiadano legendy o gwiazdach i legendy przetrwały. Zastanawiał się, czy będzie mógł jeszcze spojrzeć w niebo nocą bez dreszczu.

Ta cholerna mgła...

Zadudniły kopyta. Danielis wyciągnął pistolet do połowy. Jeźdźcem jednak okazał się jego własny zwiadowca, który uniósł w pozdrowieniu przemoczony rękaw. – Panie pułkowniku, siły nieprzyjaciela około dziesięciu mil przed nami wzdłuż drogi. Duże zgrupowanie..

A więc trzeba będzie walczyć. – Wiedzą o nas?

– Nie, panie pułkowniku. Posuwają się grzbietem górskim na wschód.

– Pewnie chcą zająć ruiny Candlestick Park – mruknął Danielis. Był zbyt zmęczony, by odczuć podniecenie. – To dobra twierdza. Dziękuję, kapralu. – Obrócił się w stronę Lescarbaulta i zaczął wydawać polecenia.

W bezkształtnym mroku brygada zaczęła nabierać kształtów. Wyruszyły patrole. Zaczęły napływać informacje i Danielis naszkicował plan, który powinien się powieść. Nie chciał uciekać się do ostatecznej konfrontacji, a jedynie odepchnąć wroga na stronę i zniechęcić go do pościgu. Ludzi należy oszczędzać, zachować tyłu, ilu się da, przy życiu, do obrony miasta i późniejszej kontrofensywy.

Wrócił Lescarbault.

– Panie pułkowniku! Przerwano zagłuszanie!

– Co takiego? – Danielis zamrugnął oczami, jeszcze nie całkiem rozumiejąc. – Tak, panie pułkowniku. Nadawałem na minikomunikatorze – Lescarbault uniósł rękę, z niewielkim nadajnikiem na przegubie – na niewielką odległość: przekazywałem rozkazy dowódcom batalionów. Zakłócenia ustały parę minut temu. Wszystko słyhać doskonale.

Danielis przyciągnął przegub majora do swych ust.

– Halo, radiowóz, tu mówi dowódca. Słyszycie mnie?

– Tak jest, panie pułkowniku – odrzekł głos łącznościowca.

– Z jakiegoś powodu wyłączono w mieście zagłuszanie. Dajcie mi otwarty kanał wojskowy.

– Tak jest. – Chwila milczenia, podczas której słyhać było mamrotanie ludzi i szum wody płynącej w rozpadlinach. Widmo śmierci przeleciało Danielisowi przed oczyma. Krople deszczu ściekały mu po hełmie za kołnierz. Grzywa konia zwieszała się, nasiąknięta deszczem.

I nagle, jak pisk owada:

– ... tu natychmiast! Wszystkie jednostki w polu natychmiast do San Francisco! Znajdujemy się pod atakiem od strony morza!

Danielis puścił ramię Lescarbaulta. Patrzył w pustkę, a głos zawodził przez cały czas.

– ... bombarduje Potrero Point. Pokłady zatłoczone wojskiem. Chyba chcą tam wylądować...

Myśli Danielisa wyprzedzały słowa. Jak gdyby psychotronika nie była kłamstwem, jak gdyby oglądał ukochane miasto własnymi oczami i czuł jego rany własnym ciałem. Wejścia do Zatoki nie zasłaniała zapewne mgła, bo inaczej nie podaliby tak dokładnego opisu. Może kilka jej pasemek snuło się między zardzewiałymi szczątkami mostu, odbijając się niczym zwały śniegu na tle niebieskozielonej wody i jasnego nieba. Ale większość Zatoki stała otwarta dla słońca. Na przeciwległym brzegu wznosiły się wzgórza Zatoki Wschodniej, zielonej od ogrodów i lśniącej willami. Kraina Marin zaś wyciągała ramiona pod niebiosa po drugiej stronie cieśniny, spoglądając na dachy, ściany i wzniesienia, które składały się na San Francisco. Konwój przedostał się przez

obronę nadbrzeżną, która mogła go zniszczyć; był to niezwykle liczny konwój i nie o wyznaczonym czasie, ale wszak składał się z tych samych jednostek o pękatych kadłubach, białych żaglach, czasem dymiących kominach. To te statki żywiły miasto. Przyjęto więc jakieś wytłumaczenia – że powodem spóźnienia były kłopoty z morskimi napastnikami – i wpuszczono flotę do Zatoki, od strony której miasto nie miało murów. A potem statki odsłoniły działa, zaś ich pokłady wypełniły się zbrojnymi.

Tak, musieli przechwycić konwój, ci piraci na szkunerach. Włączyli własne zagłuszanie; razem z naszym stłumiło ono jakiegokolwiek wołania ostrzegawcze. Nasze zapasy wyrzucili za burtę i załadowali wojska szefów. Jakiś szpieg czy zdrajca przekazał im nasze sygnały rozpoznawcze. I teraz stolica leży przed nimi otworem, garnizon jest pusty, nie ma prawie żadnego adepta w Centrali Esperów, wojska Sierry walą w bramy miasta, a tam Laura jest beze mnie.

– Nadchodzimy! – ryknął Danielis. Za nim brygada z jękiem nabierała szybkości. Uderzyli z desperacką wściekłością, która zaniósła ich głęboko w pozycje wroga, a następnie rozdzieliła na niewielkie grupy. We mgle wrzała walka na noże i szable. Ale Danielis, który poprowadził szarżę, leżał już wtedy z pierśią rozerwaną granatem.

Walki trwały jeszcze na wschodzie i południu, w okolicy portu u ruin murów Półwyspu. Jadąc w górę Mackenzie widział, jak kontury tych części miasta zacierał dym, rozwiewany czasem przez wiatr ukazujący gruzy, które kiedyś były domami. Wiatr przynosił odgłosy strzałów. Jednak poza tamtymi rejonami miasto było nietknięte; połyskiwało dachami i białą ścian w pajęczynie ulic. W niebo mierzyły, niczym maszty, wieże kościołów, Urząd Federalny na Nib Hill oraz Wieża Obserwacyjna na Telegraph Hill. Takimi je zapamiętał z dzieciństwa. Piękna aż do bezczelności Zatoka lśniła w świetle słońca.

Nie miał jednak czasu na podziwianie widoków ani na zastanawianie się, gdzie szukać Laury. Atak na Twin Peaks musi być szybki, bowiem Centrala Esperów z pewnością będzie się bronić.

Aleją wiodącą do tych podwójnych pagórków z przeciwnej strony Speyer prowadził połowę Włóczykijów (Yamaguchi leżał martwy na zrytej plaży). Sam Mackenzie podchodził z tej strony. Konie stukały podkowami po Portoli, między dwoma rzędami domów, ślepych za pozamykanymi okiennicami; działa toczyły się skrzypiąc, buty stukały o chodnik, mokasyny sunęły, broń szczekała, ludzie ciężko oddychali, a oddział czarowników starał się gwizdem odpędzić nieznane demony. Cisza jednak pochłaniała te dźwięki, echa chwytaly je i pozwalały im ścichnąć. Mackenzie przypomniał sobie koszmary nocne, w których uciekał korytarzem bez końca. Nawet jeśli nie zaatakują nas, pomyślał niewesoło, będziemy musieli szybko zdobyć to miejsce, nim wysiądą nam nerwy.

W bok od Portoli odchodził bulwar Twin Peaks i stromo skręcał w prawo. Domy się skończyły; jedynie dzikie trawy pokrywały owe niby-święte góry aż do szczytów, gdzie stały budynki, do których wstęp był wzbroniony wszystkim prócz adeptów. Owe dwa niebotyczne, jarzące się blaskiem wieżowce o kształcie fontann zbudowano nocą w ciągu zaledwie kilku tygodni. Coś jakby jęk rozległo się za plecami pułkownika.

– Trębacz, grajcie sygnał do natarcia. Przyspieszyć kroku!

Jak gwizd dziecka tony sygnału uleciały w niebo i zginęły. Pot szczypał pułkownika w oczy. Jeśli zawiedzie i zginie, nie będzie to miało zbyt wielkiego znaczenia... po tym wszystkim, co się wydarzyło... ale pułk, pułk...

Przez ulicę przebiegł płomień barwy piekła. Uszu nacierających doleciał syk i grzmot. Ulica

przed nimi leżała przeryta w pół, stopiona, dymiąca i cuchnąca. Mackenzie zmusił konia do zatrzymania. Tylko ostrzeżenie. Ale gdyby mieli dość adeptów, by nas pokonać, czy zadawaliby sobie trud odstraszenia nas?

– Artyleria, ognia!

Armaty polowe ryknęły jednym głosem, nie tylko haubice, ale i samojezdne siedemdziesiątki piątki zabrane ze stanowisk obrony wejścia do Zatoki. Nad głowami przeleciały pociski z gwizdem jakby lokomotywy. Rozbiły się na murach w górze, a huk dotarł w dół na skrzydłach wiatru.

Mackenzie przygotował się na uderzenie Esperów, ale uderzenie nie nadeszło. Czyżby już pierwszą salwą zlikwidowali ostatnie stanowiska obronne? Dymy na szczytach rozwiały się i pułkownik zobaczył, że barwy, które przedtem igrały na murach, były martwe, a w cudownych kształtach ziały głębokie rany ukazujące niezwykle słabą konstrukcję. Wyglądała ona jak szkielet kobiety zamordowanej jego własną ręką.

Szybko, mimo wszystko! Rzucił kilka rozkazów i poprowadził naprzód piechotę i konnicę. Bateria pozostała na poprzednim miejscu, strzelając bez przerwy z histeryczną furią. Sucha, zbrązowiała trawa zaczęła się palić od rozżarzonych do czerwoności odłamków opadających na stok. Poprzez grzyby eksplozji Mackenzie dostrzegł, że budynek się rozpada. Całe arkusze oblicowania pękały i opadały na ziemię. Szkielet zawibrował, otrzymał bezpośrednie trafienie, zaśpiewał łabędzią pieśń metalu, zapadł się i skręcił, po czym runął na ziemię.

A cóż to takiego kryło się pod nim?

Żadnych pojedynczych pomieszczeń, pięter, nic tylko dźwigary, tajemnicze maszyny, tu i tam kula rozjarzona jak miniaturowe słońce. Konstrukcja kryła we wnętrzu coś prawie tak wysokiego, jak ona sama, błyszczącą kolumnę z płetwami, prawie taką jak pocisk raketowy, ale niezwykle wysoki i jasny.

To ich statek kosmiczny, pomyślał Mackenzie wśród hałasu. Tak, oczywiście, starożytni zaczęli budować statki kosmiczne, podobnie jak my uważaliśmy, że kiedyś i do tego wrócimy. Ale to...!

Łucznicy wznieśli okrzyk plemienny. Podjęli go strzelcy i kawalerzyści, okrzyk szalony, triumfalny, niczym wycie drapieżnej bestii. Na szatana, dołożyliśmy samym gwiazdom! Gdy żołnierze wpadli na grzbiet wzgórza, ostrzał ustał i okrzyki radości zagłuszyły wiatr. W nozdrzach atakujących dym wiercił kwaśno, niczym zapach krwi.

W rumowisku widać było kilku zabitych w błękitnych szatach. Paru, którzy przeżyli, pędziło w kierunku statku. Jeden z łuczników wystrzelił. Strzała odbiła się od silników Lądownika, ale zmusiła Esperów do zatrzymania. Żołnierze wbiegli w ruiny, by ich zatrzymać.

Mackenzie ściągnął wodze. Koło jednej z maszyn leżały zmiżdżone zwłoki... nie człowieka. Jego krew miała barwę głębokiego fioletu. Kiedy ludzie to zobaczą, będzie to koniec Bractwa. Nie odczuwał triumfu. W St. Helena przekonał się, jak dobrzy byli ci, którzy zaufali Esperom.

Nie czas jednak na żale ani rozmyślania o tym, jak ciężka będzie przyszłość, gdy ludzkość uwolni się całkowicie z uwięzi. Budynek na drugim szczycie był wciąż nietknięty. Musi tu umocnić swe pozycje, potem zaś pomóc Philowi, jeśli będzie trzeba. Jednakże zanim dokończył swego zdania, odezwał się minikomunikator:

– Chodź tu do nas, Jimbo. Już po bałaganie. – Gdy Mackenzie jechał samotnie w kierunku stanowiska Speyera, zobaczył, że na maszcie drugiego wieżowca pojawiła się flaga Stanów

Pacyficznych.

U wejścia stali nerwowi, przejęci wartownicy. Mackenzie zsiadł z konia i wszedł do budynku. Przedsiónek był jedną wielką, iskrzącą się fantazją barw i łuków, wśród których, jakby trolle, poruszali się żołnierze. Ten budynek wyraźnie mieścił mieszkania, biura, magazyny i inne sale o mniej zrozumiałym przeznaczeniu... Oto pokój, którego drzwi wysadzono dynamitem. Płynne, abstrakcyjne freski były teraz nieruchome, porysowane i brudne. Czterej obszarpani żołnierze trzymali pod bronią dwie istoty, które przesłuchiwał Speyer.

Jedna z nich na wpół leżała na czymś, co mogło uchodzić za biurko. Ptasia twarz była ukryta w siedmiopalczastych dłoniach, a szczątkowe skrzydła drżały jakby od szlochu. A więc umieją płakać? – pomyślał zdumiony Mackenzie i nagle zdjęło go pragnienie, by wziąć tę istotę w ramiona i pocieszyć na tyle, na ile potrafił.

Drugi nieziemiec stał w szacie z metalowej plecionki. Wielkie, topazowe oczy patrzyły na Speyera z ponad dwumetrowej wysokości, a głos przemieniał wypowiedane z obcym akcentem angielskie słowa w muzykę.

... gwiazda typu G około pięćdziesięciu lat świetlnych stąd. Ledwie ją widać gołym okiem, choć nie na tej półkuli.

Koścista, nie ogolona twarz majora poruszyła się w przód, jakby chciała sięgnąć czegoś ustami.

– Kiedy spodziewacie się posiłków?

– Statek przyleci dopiero za niespełna sto lat, a przywiezie tylko obsługę. Jesteśmy tu odizolowani przez czas i przestrzeń; niewielu może tu przybywać, aby budować most umysłów poprzez tę otchłań...

– Jasne – Speyer przytaknął prozaicznie. – Granica szybkości światła. Tak myślałem. O ile mówicie prawdę.

Istota zadygotała.

– Nic nam nie pozostało, jedynie mówić prawdę i ufać, że zrozumiecie nas i pomożecie. Odwet, podbój, jakakolwiek postać masowej przemocy jest niemożliwa, kiedy dzieli tyle czasu i przestrzeni. Nasza praca trwała w sercach i umysłach. Nie jest za późno, nawet teraz. Najistotniejsze fakty można jeszcze ukryć... och, wysłuchajcie mnie, przez wzgląd na waszych nie narodzonych!

Speyer skinął głową do pułkownika.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Mamy tu całą bandę. Gdzieś dwudziestu zostało przy życiu, a ten tutaj, to szef. Chyba to jedyni na Ziemi.

– Domyślaliśmy się, że nie może ich być wielu – rzekł Mackenzie. Jego uczucia i głos były równie zszarzałe. – Wtedy, kiedy omawialiśmy to razem, we dwóch, i próbowaliśmy się domyślić, co oznaczają te wszystkie ślady. Musiało ich być niewielu, bo działaliby bardziej otwarcie.

– Słuchajcie, słuchajcie – błagała istota. – Przybyliśmy tu z miłością. Naszym marzeniem było doprowadzenie was... sprawienie, byście sami doszli do pokoju, spełnienia... O, tak, my również mielibyśmy z tego zysk: powstałaby jeszcze jedna rasa, z którą z czasem moglibyśmy obcować jak z braćmi. Ale we wszechświecie jest wiele ras. To tylko z powodu waszych męczarni chcieliśmy pokierować waszą przyszłością.

– Ten pomysł manipulowania nie jest znów taki oryginalny – mruknął Speyer. – Co jakiś czas

wpadamy na niego na Ziemi. Ostatnim razem doprowadził do wojny atomowej. Nie, dziękujemy bardzo!

– Ale my wiemy! Wielka Nauka przepowiada z absolutną pewnością!

– Przepowiedziała i to? -- Speyer zatoczył ręką krąg po okopconym pomieszczeniu. -- Występują perturbacje. Za mało nas jest, by kontrolować wszystkich dzikich w każdym szczególe. Ale czy wy nie chcecie końca wojny, końca wszystkich waszych starodawnych cierpień? Ofiaruję to wam za waszą dzisiejszą pomoc.

– Wam samym udało się rozpętać całkiem paskudną wojnę -- rzekł Speyer. Istota splotła palce.

– To był błąd. Plan pozostaje w mocy; jest to jedyny sposób, by doprowadzić wasze narody do pokoju. Ja, który przyleciałem z gwiazd, upadnę teraz przed wami i będę błagał...

– Spokój! --- rzucił Speyer. – Gdybyście przybyli otwarcie, jak uczciwość nakazuje, może ktoś by was posłuchał. Może i tyłu, żeby się wam udało. Ale nie, wasza filantropia musi być subtelna i fachowa. Wy wiecie lepiej, co dla nas dobre. My tu nie mamy nic do powiedzenia. Jak mi Bóg miły, nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś tak bezczelnego!

Istota uniosła głowę.

– A czy wy mówicie prawdę waszym dzieciom? – Tyle, ile potrafią zrozumieć.

– Wasza dziecięca kultura nie potrafi pojąć tej prawdy.

– A kto was upoważnił, poza wami samymi, by nas nazywać dziećmi? – Skąd możecie wiedzieć, że jesteście dorośli?

– Próbując dorosłych zająć i sprawdzając, czy damy sobie z nimi radę. Jasne, robimy paskudne błędy, my, ludzie. Ale to nasze błędy. I uczymy się na nich. To wy nie umiecie się niczego nauczyć, wy i te wasze cholerne nauki psychologiczne, o których tyle gadacie, a które chcą wtłoczyć każdy żywy umysł w ciasną ramę.

Chcieliście na nowo ustanowić państwo scentralizowane, prawda? A nie pomyśleliście choć przez chwilę, że może to feudalizm jest właśnie odpowiedni dla ludzkości? Że oznacza on miejsce, które nazywa się własnym, do którego się należy, którego jest się częścią; społeczeństwo z tradycjami i honorem; szansę dla każdego do podejmowania decyzji, które się liczą; ostoję wolności wbrew władcom centralnym, którzy zawsze chcą coraz więcej władzy; tysiąc różnych dróg życia. Tu na Ziemi zawsze tworzyliśmy superpaństwa i zawsze je rozbijaliśmy. Myślę, że chyba ta cała koncepcja jest błędna. I może tym razem spróbujemy czegoś innego. Czemuż by nie świata złożonego z małych państw, zbyt dobrze zakorzenionych, by stopić się w jeden naród, zbyt małych, by komukolwiek zaszkodzić – powoli wznoszących się ponad zawiści i waśnie, ale utrzymujących swą tożsamość: tysiąc odrębnych interpretacji naszych problemów. Może wtedy uda się nam kilka z nich rozwiązać... dla siebie samych!

– Nigdy się to wam nie uda – powiedziała istota. – Sami się zniszczycie.

– To wam się tak wydaje. Ja myślę inaczej. Ale ktokolwiek ma rację – a założę się, że ten wszechświat jest zbyt wielki dla obu naszych ras, by mogły cokolwiek tu prorokować – będziemy mieli na Ziemi wolny wybór. Zawsze wolę być martwy niż tresowany.

Ludzie dowiedzą się o was, kiedy tylko sędzia Brodsky wróci do władzy. Nie, jeszcze prędzej.

Pułk usłyszy dziś, miasto jutro, aby mieć pewność, że nikomu znowu nie wpadnie do głowy tłumienie prawdy. Kiedy przyleci wasz statek, będziemy gotowi na jego przyjęcie: w nasz własny sposób, obojętne jaki będzie.

Istota okryła głowę fałdą szaty. Speyer obrócił się do pułkownika. Twarz jego była mokra od potu.

– Chciałeś... coś powiedzieć, Jimbo?

-- Nie – mruknął Mackenzie. – Nic mi nie przychodzi do głowy. Zajmijmy się rozlokowaniem naszych wojsk. Chociaż nie sądzę, byśmy musieli jeszcze walczyć. Wydaje się, że tam w dole jest już po wszystkim.

– Jasne – Speyer wciągnął z trudem powietrze w płuca. – Oddziały nieprzyjaciela muszą wszędzie skapitulować. Nie mają już o co walczyć. Wkrótce będziemy mogli zająć się odbudową.

Był to dom z wewnętrznym dziedzińcem, którego ściany pokrywały róże. Ulica, przy której stał, nie powróciła jeszcze do życia, tak że na zewnątrz, w żółtym świetle zachodu, panowała cisza. Pokojówka wprowadziła pułkownika Mackenzie przez tylne drzwi i odeszła. Mackenzie podszedł do Laury, która siedziała na ławce pod wierzbą. Widziała go z dala, ale nie wstała. Jedną jej ręką spoczywała na kołyszce.

Zatrzymał się i nie wiedział, jak zacząć. Jakże była wychudzona. Po chwili odezwała się, tak cicho, że ledwie dosłyszał:

– Tom nie żyje.

– Och, nie. – Przed oczami przemknęła mu ciemność.

– Dowiedziałam się przedwczoraj, gdy kilku z jego ludzi dowlokło się do miasta. Zginął w bitwie pod San Bruno.

Mackenzie nie miał odwagi usiąść koło niej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przykucnął na płytach chodnika i patrzył na osobliwe wzory, w jakie je ułożono. Nie wiedział, gdzie jeszcze mógłby obrócić wzrok.

Jej głos płynął nad nim, bez wyrazu:

– Czy warto było? Nie tylko Tom, ale tylu innych, zabitych dla kwestii politycznej?

– Gra szła o coś więcej – powiedział.

– Tak, słyszałam przez radio. Ale wciąż jeszcze nie rozumiem, dlaczego miało to być warte tych ofiar. Próbowałam, ale nie mogę pojąć.

Nie miał już sił, by się bronić.

– Może masz rację, kaczuszko. Ja nie wiem.

– Siebie mi nie żal – powiedziała. – Mam przecież Jimmy'ego. Ale Tom został oszukany.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest dziecko i że powinien przytulić do siebie swego wnuka i myśleć o życiu, które przyniesie przyszłość. Ale czuł zbyt wielką pustkę.

– Tom chciał, żebym dała mu twoje imię – powiedziała. , A ty, Lauro? – zastanawiał, się. A na

głos:

– Co będziesz teraz robić?

Zmusił się, by spojrzeć na nią. Zachód słońca płonął na liściach wierzby i na jej twarzy, teraz zwróconej ku dziecku, którego nie widział.

– Wróc do Nakamury – rzekł.

– Nie. Wszędzie, tylko nie tam.

– Zawsze kochałaś góry – próbował na ślepo. – Może...

– Nie. – Spojrzała mu w oczy. – To nie o ciebie chodzi, tato. Nigdy. Ale Jimmy nie zostanie żołnierzem. – Zawahała się. – Jestem pewna, że jacyś Esperzy będą wciąż działać, na nowych zasadach, ale z tymi samymi celami. Myślę, że powinniśmy pójść do nich. Jimmy powinien wierzyć w coś innego niż to, co zabiło jego ojca, i starać się, by stało się to rzeczywistością. Nie mam racji?

Mackenzie wstał mocując się z twardym przyciąganiem Ziemi.

– Nie wiem – odrzekł. – Nigdy za dużo nie myślałem... Mogę go zobaczyć?

– Och, tato...

Podszedł do kołyski i schylił się nad maleńką śpiącą istotką.

– Jeśli kiedyś znowu wyjdiesz za mąż – powiedział do Laury – i będziesz miała córkę, dasz jej imię jej matki? – Zobaczył, jak głowa Laury pochyła się w dół, a jej pięści się zaciskają. Szybko zakończył: – Pójdę już. Chciałbym odwiedzić cię jeszcze, jutro czy kiedyś, jeśli mnie przyjmiesz.

I wtedy padła mu w ramiona i zapłakała. Gładził ją po włosach i szeptał, tak jak wtedy, gdy była dzieckiem.

– Przecież chcesz wrócić w góry, prawda? To twój kraj, twoi rodacy; tam jest twoje miejsce.

– D-dobrze wiesz, jak bardzo chcę.

– To czemu nie wrócisz?! – wykrzyknął. Jego córka wyprostowała się.

– Nie mogę – powiedziała. – Twoja wojna się skończyła. Moja dopiero się zaczęła.

Ponieważ sam wyćwiczył w niej tę wolę, mógł tylko powiedzieć: – Ufam, że zwyciężysz w niej.

– Może za tysiąc lat... – nie mogła dokończyć.

Noc już zapadła, gdy wyszedł od Laury. Elektryczność w mieście wciąż nie działała, toteż lampy uliczne były ciemne i tylko gwiazdy stały wysoko nad dachami. Oddział, który oczekiwał swego pułkownika, by odprowadzić go do koszar, wyglądał w świetle latarni jak stado wilków. Zasalutowali mu i jechali z tyłu trzymając broń w pogotowiu, ale jedynym dźwiękiem, jaki zmącił tę ciszę, był stalowy stuk podków końskich.